

język giętki jak nadwiślańskie wierzby



Niepokojącym staje się fakt, że sygnały o tym, że jest źle płyną od osób starszych. Wynika z tego, że są lepiej przygotowani „językowo” i to w okresie i w szkołach, gdzie kadra nauczycieli niekoniecznie dysponowała tytułami naukowymi i specjalistycznymi w takim wymiarze, jak to ma miejsce dziś

*Język giętki jak nadwiślańskie wierzby i tak melodyjny jak z ich łóz wystrugane fujarki
Niech pomyśli głowa aby to nie były tylko słowa, słowa, słowa...*

Jakkolwiek, kiedykolwiek i przez kogokolwiek wypowiedziane. Przecież na początku było SŁOWO. Znak antropologiczny o wymiarze duchowym, w wyrazie już bardziej materialnym.

Młodzi duchem i ciałem, łakący świata, przekazywane nam przez innych maksymy jego powstawania, konstrukcji, wreszcie eksploatacji egzystencjalnej wchłaniają szybko, coraz szybciej. Ale czy dokładniej, mądrzej i w bardziej ucywilizowany sposób? Oczywiście zależy to od nauczycieli tych po mieczu i po kądzieli oraz tych przez duże N. W ogarniającym nas globalizmie prawie, we wszystkich (jeśli istnieją jeszcze jakieś indywidualizmy dziedzinach, czując się otoczony wszechogarniającymi mediami, próbują znaleźć niszę osobistego zaspokojenia ciekawości i osobistego językowego zaznaczenia. Przychodzi to coraz trudniej.

W narastającym chaotycznie szumie informacyjnym (układ splątania związanego nazwany czarną dziurą kwantową teorii informacji - ostatnie osiągnięcia naukowe w fizyce - dop. aut.) potykam się o coraz okazalsze chwasty językowe zaśmiecające (coraz częściej) poletko ojczystego języka.

Jak głosi mądrość łacińskiej sentencji verba docent, exempla trahunt („słowa uczą, przykłady pociągają”) nie wplecione, a wręcz rozsądzone zagłuszają muzyczną barwę języka pozostawiając go tylko w tonacji „d-dur”.

Niczym pączki powoju pozostają leksykalnie natręty, na przykład w opowiadaniu Edwarda Stachury „Jak mi było na Mazurach”: „Topole stały wysokie i z daleka wierzchołki jakby łączyły się i były one jak gdyby akwedukty nad drogą asfaltową”. „Nie był taki szeroki i zwiewny, ale przyduszony, schowany jakby przed bagnem”.

Za to zasłaniające oczy, raniące jak cierń głęboko coraz częstsze wulgaryzmy w tekstach pisanych, w tym w wierszach, niestety wysoko ocenianych w konkursach literackich i wokarno-literackich. Moja reakcja to unikanie czytania innym tychże utworów - wytworów, nawet jeśli znajdują miejsce w ładnie drukowanych almanachach. Przemilczam i nie namawiam. Swoista cienko-gruba kreska. Buduję w ten sposób sobie „operę”, gdzie wypowiedziane słowo jest srebrem, a milczenie - złotem. I nie zacznę przekazu myślowego słowem „bo”, gdyż wtedy i o srebrzykach nie może być mowy.

Jarek J., lider zespołu muzycznego w rozmowie z Dariuszem Szreterem mówi: „Nie ma nas za dużo w mediach [...] mamy problemy z kanałami artykulacji i dotarciem do odbiorcy. Przyłgnęła do nas łątka zespołu alternatywnego. Dla większości nadawców oznacza to, że jesteśmy zespołem trudnym. Takim, którego twórczości przeciętny zjadacz chleba nie jest w stanie ogarnąć ani zrozumieć. Nic bardziej mylnego. My gramy dość prosto, natomiast w sytuacji gdy media hołdują najniższemu gustowi i atakują odbiorcę banalnymi dźwiękami,



wyrastamy do miana osobników megaintelektualnych. A tu panuje dyktat odbiorców. Nasz odbiorca jest taki, a taki i dla niego gramy - mówi decydent. Jeżeli coś do tego obrazka nie pasuje, to to czy masz coś do przekazania, nie jest istotne - wylatujesz od razu na śmietnik”.

Po co nam jakieś dziwne przemyślenia kolegi Jarosława komentujące sytuację obyczajową? Lepiej wypuśćmy zespół taneczny z piosenką typu: „la, la, la, nie ma mnie, daj mi rękę, słońce jest żółte, niebo jest niebieskie”. Z miejsca przyjmuje się założenie, że społeczeństwo jest głupie i w związku z tym, co będziemy sobie zawracać głowę treścią piosenek. Tu trzeba wyrabiać słupki słuchalności, sprzedawać w reklamach margarynę, masło czy proszek do pieczenia.

Jarek mówi dalej: „...z dzisiejszą młodzieżą wypada zdecydowanie na niekorzyść tej drugiej, która ma bardzo wysokie zainteresowania, jest przygotowana tylko do tego, żeby w piątek czy sobotę wypić 15 piw, pójść na dyskotekę, spocić się, wykonać jakieś głupie ruchy na wydmach czy gdzieś w krzakach albo iść na jakąś żałosną imprezę [...] A na przykład taki magazyn (Pegaz - dop. aut.), który prezentuje wyższą kulturę, pokazuje nowe książki, nowe zjawiska, jest niepotrzebny. Decydenci uznali, że najważniejsze jest, by trąbić o tym, że PKB jest dodatni, że zrobiliśmy 28 tysięcy jakichś nowych płyt wiórowych i sprzedaliśmy 100 tysięcy krzesłek z plastiku. I to jest wyznacznikiem tego, że jest fajnie [...]. W radio dziś postępuje zidiocenie. To co się dziś nadaje w eterze, powinno pod karą finansową, mieć zakaz używania nazwy radio. Ja bym to nazwał katarynką na częstotliwości takiej a takiej.

Ono, on czy komputer tylko mówi: „Proszę państwa, temperatura 18 stopni, imieniny Romka i Tomka, kto chce wygrać 100 złotych - niech dzwoni. I gramy.”

Pod koniec rozmowy Jarek konkluduje: „Zawsze uważałem, że żeby pokazać prawdę, dobrać się do jądra tego, co się dzieje w ludzkich głowach, nie ma co szermować wielkimi ideami. Świat tak nie wygląda, życie jest gdzie indziej, [...] toczy się wokół nas”.

O języku polskich celebrytów pisze Grażyna Kuźnik: „Polskie gwiazdeczki znane z tego, że są znane, wyrażają się tak, że włosy stają dęba. Wulgarnie, niegramatycznie, agresywnie. Takim stylem zwracają na siebie uwagę. [...] Prostacki, niepoprawny język, bardzo często podsłuchany u idoli, wchodzi młodym ludziom w krew. Piszą byle jak nawet do swoich nauczycieli akademickich czy do szanowanych artystów”.

Dr Danuta Krzyżyk, językoznawca, pracownik Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego stwierdza: „Jest coraz gorzej. Uczę studentów polonistyki, a więc liczę na pewien poziom. Niestety, studenci często nie znają ortografii, nie stosują się do norm językowych, nie używają na przykład znaków diakrytycznych (np. ogonków do ą i ę), bo to nawyk z pisanie SMS-ów. Młodzież nie korzysta ze słowników ortograficznych, a co gorsze, nawet nie wie, jakie istnieją. O słowniku interpunkcji nie mają pojęcia. Kiedy dostają teksty pełne błędów, zwracam je z żądaniem poprawek”.

Redaktor Kuźnik pisze: „Czasem, jak w szkole, dr Krzyżyk każe studentom nauczyć się reguł ortografii, z których potem są przepytani. Nie pomagają skargi, że mają dysortografię”. W rozmowie

dr Krzyżyk stwierdza: „To raczej skutek nadużywania komputerów, gdzie mało kto dba o poprawność zdań oraz bezmyślnego naśladowania osób publicznych. [...] A przecież zdarza się, że język tzw. celebrytów woła o pomstę do nieba”.

Paweł Golec, muzyk: „Nie wyobrażam sobie jednak, że ktoś macha ręką na ortografię i przestaje się jej uczyć, bo jest za trudna. Musimy kontrolować niepewną pisownię w słownikach. To należy do kanonu dobrego wychowania, tak samo jak zasady grzeczności, higieny, kultury osobistej, zachowania się przy stole. Kiedyś uczono tych reguł tylko arystokrację, dzisiaj wszyscy powinni je znać”.

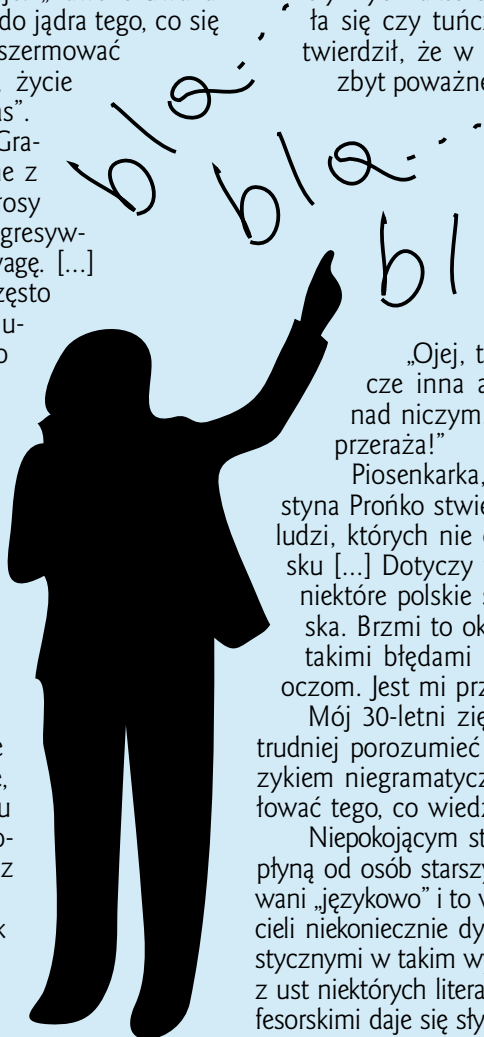
Ilona Felicjańska, modelka i wicemiss Polonia stwierdza: „Dostałam w swoim życiu sporo listów od wielbicieli. Jeśli ktoś pisze nieortograficznie, po prostu mu nie odpowiadałam. [...] Ortografii nie nauczymy się bez wysiłku. Zwłaszcza, że komputer źle na nią wpływa, bo tracimy pamięć ręki. Ucząc się pisowni jakiegoś słowa, piszemy go potem odruchowo. Na klawiaturze tylko stukamy w klawisze, w dodatku są programy, które poprawiają nam błędy. Kiedy takiego programu nie ma albo trzeba coś napisać odręcznie, bywa naprawdę źle”. Obawia się także o swoje dzieci korzystające z telewizji i internetu. „Opinie wygłaszane w telewizji są czasem wulgarnie i głupie. Nie wiem jak reagować gdy ktoś głośno się chwali, że ćpa, pije, stosuje przemoc. Dzisiaj rodzice muszą bardzo uważać na to, jak piszą i mówią ich dzieci. Dostęp do tego, co szkodliwe, jest łatwiejszy niż kiedykolwiek” - ostrzega Felicjańska.

Rankingi najgłupszych, tudzież wulgarnych wypowiedzi celebrytów pęcznią w zatrważającym tempie. Niestety wynika z nich, że nie trzeba dużo wiedzieć, żeby być sławnym i bogatym. Na szczęście udaje się to nielicznym. Jedną ze słynnych aktorek w publicznym programie zastanawiała się czy tuńczyk to odmiana kurczaka, znany bokser twierdził, że w tym sporcie zdarzają się zgony, ale nie- zbyt poważne. Inna znana aktorka jest za karą śmierci, bo przestępca powinien mieć nauczkę na przyszłość. Wschodząca, polska gwiazdeczka publicznie oznajmiła: „Jestem jakimś tam fenomenem. Fenomenem siebie”, a kiedy dowiedziała się, że inny aktor oddał dziecku kawałek wątroby, zdziwiła się: „Ojej, to ty teraz żyjesz z jedną wątrobą?” Jeszcze inna aktorka wyznała: „Nie myślę zbyt wiele nad niczym. Jeśli myślę zbyt wiele, to mnie to jakby przeraża!”

Piosenkarka, kompozytorka, pedagog muzyczny Krystyna Prońko stwierdza, że „spotyka wielu innych młodych ludzi, których nie obchodzi, czy mówią poprawnie po polsku [...] Dotyczy to tak treści, jak i wymowy, na przykład niektóre polskie słowa wypowiadają „światowo” z angielska. Brzmi to okropnie. Dostają też prośby o autografy z takimi błędami ortograficznymi, że nie wierzę własnym oczom. Jest mi przykro”.

Mój 30-letni zięć - adiunkt uniwersytecki mówi: „Coraz trudniej porozumieć mi się z moimi studentami. Operują językiem niegramatycznym, sloganowym, nie mogą wyartykułować tego, co wiedzą. Jak mam ich oceniać?”

Niepokojącym staje się fakt, że sygnały o tym, że jest źle płyną od osób starszych. Wynika z tego, że są lepiej przygotowani „językowo” i to w okresie i w szkołach, gdzie kadra nauczycieli niekoniecznie dysponowała tytułami naukowymi i specjalistycznymi w takim wymiarze, jak to ma miejsce dziś. Co gorsza, z ust niektórych literaturoznawców i polonistów z tytułami profesorskimi daje się słyszeć: „taka moda - trzeba będzie z czasem przyjąć to z całym dobrodziejstwem majestatu nowego”.



Pozostaje bić na alarm i zacząć odchwaszczać. Tylko od kogo i czego zacząć? Dobrze, że chociaż można odwołać się do Autorytetu J. P. II: „Ojczyzna - kiedy myślę - wówczas wyraża siebie i zakorzeniam, mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym, aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas, z niej się wyłaniam... gdy myślę Ojczyzna - by zamknąć ją w sobie jak skarb. Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą wypełnia” (Karol Wojtyła - Myśląc Ojczyzna...)

Przechodząc do zagadnień stricte ekologicznych nie można pominąć funkcji słowa wypowiedzianego i zapisanego. Tworzą logiczną całość. Są to narzędzia porozumiewania się człowieka współczesnego w otaczającym go świecie. Wobec powyższego bliskie mi są sugestie Stefana Pastuszewskiego, aby liczne stowarzyszenia ekologiczne zmieniły nazwę na „antropologiczno-ekologiczne”. Chrońmy język ojczysty jak całą Ojczyznę!

W publikacji Janiny Drażek i Ludwika Adamczyk, pt. „Drogi w kierunku zrównoważonego rozwoju”, w jego podsumowaniu jest przednia myśl, pod którą chętnie złożyłbym swój podpis. A brzmi on: „Reasumując - rozwój zrównoważony, jako kierunek na nowe stulecie, to przede wszystkim rozwijanie swoich możliwości, wiedzy, wrażliwości i przyja-

znych uczuć do świata. Powrót do najstarszych, często zapomnianych, ludzkich odruchów solidarności, także z tymi co przyjdą po nas, dzielenia się z drugim, który ma mniej, wyeliminowanie brutalności zarówno wobec ludzi, jak i przyrody. „Wszyscy ludzie dobrej woli winni współdziałać w tym wielkim dziele”.

Dodam do tego, nieco trawersując z tytułu publikacji dr Marii Dombrowicz, osiągnąć „wartość i świadomość dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego”, osobiście ubogacając i dorastać do nowego autorytetu.

„Kiedy myślę: Ojczyzna, szukam drogi, która zbocza przecina jakby prąd wysokiego napięcia, biegnąc górą - tak ona biegnie stromo w każdym z nas i nie pozwala ustać. Droga biegnie po tych samych zboczach, powraca na miejsca te same, staje się wielkim milczeniem, które nawiedza co wieczór zmęczone płuca tej ziemi”. (Karol Wojtyła, Myśląc Ojczyzna...).

I pomyśleć, że mojemu ojcu Antoniemu pacierza po polsku nie wolno było odmówić. Język ten był na indeksie języków zakazanych pod rygiem chociażby chłosty.

Zapominając języka ojców, wyzbywasz się Ojczyzny!

**Piotr Grygiel
Jasień**



mądrzy ludzie na ścieżkach życia

Moją najnowszą tomik wierszy „Ścieżki życia” został wydany nakładem finansowym Starostwa Powiatowego w Pajęcznie i Urzędu Gminy w Strzelcach Wielkich. Wiersze są wyrazem mojego umiłowania ziemi rodzinnej, ziemi przodków



Wydanie i korekta tomiku są zasługą mej serdecznej koleżanki, mądrej i pracowitej osoby - Natalii Kubery. Nie mam słów na wyrażenie mej wdzięczności. Pani Natalia Wodniak-Kubera była moją przyjaciółką z lat nauki w Liceum Ogólnokształcącym w Pajęcznie. Mimo młodego wieku była zawsze poważną i rozsądną. Stanowiła kontrast z moją osobowością. Byłam zawsze nieprzewidywalna, rozrzutna, wesoła. Pani Natalia pomagała mi i pomaga nie tylko w zbieraniu mych wierszy, ale również materialnie w życiu prywatnym. Dlatego dziś dziękuję Jej za to, za wielkie serce i pomoc. Po ukończeniu studiów została profesorką nauk ścisłych w Liceum Ogólnokształcącym, tym samym, które skończyła. Doczekała się szacunku miejscowego społeczeństwa oraz uczniów, wobec których była osobą wymagającą.

Samo Pajęczno to ośrodek kultury i gospodarki od 700 lat tej rolniczej ziemi. Z pięknymi kartami historii. Założone przez Leszka Czarnego, wydało ludzi takiego formatu, jak Jan Długosz urodzony w Brzeźnicy k/Pajęczna, Marcin Kiełcki urodzony w Białej i innych. Jest taka legenda o tym mieście, że dawno, dawno prześladował mieszkańców ogromny pająk. Ludzie w dani musia-

li oddawać temu potworowi młode dziewczęta. Wreszcie znalazł się śmiałek, który postawił się bestii i zabił prześladowcę.

Miasta nie ominęły napady tatarskie. Ludność od wieków zajmowała się różnymi rzemiosłami. Byli w mieście szewcy, tkacze, krawcy, kowale, farbiarze, stolarze, a szczególnie bednarze, którzy wyrabiali cebry, drewniane wiadra, stągwie, skopki do dojenia krów. Oczywiście wielu mieszkańców trudniło się rolnictwem. Działki w Pajęcznie nazywano półstawkami. Ponieważ wiele rzeczy wykonywano z drewna. W Pajęczynie jest wielu Dłubaków. Z rzeźnictwem związane jest nazwisko Schabowiczów.

Z czasów mej młodości pamiętam jarmarki, jakie były w Pajęcznie. Handlowano wszystkim, można było kupić „mydło i powidło*”. Było na nich barwnie. Za moich czasów sprzedawano pasiaste zapaski, kilimy, kolory mieniły się w oczach. Widziałam handel końmi. Najbardziej smakowały mi zwykłe pszenne bułki i kiełbasa. Mama kupowała materiały na sukienkę i gliniane kugutki do gwizdania.

Dziś miasto jest inne i moja szkoła też, powiększona z basenem i boiskiem. Inne czasy, lepsze, ale czy weselsze?

Moje Pajęczno w kwiatach
Moje Pajęczno otulone babiego
Lata srebrną nicią
Trwa mimo burz dziejowych
Budowane pracą pokoleń
Pięknieje... to nie tajemnica

Pragnę zaznaczyć, że Pani Natalii Kuberze, a więc i mnie
całym sercem pomagał i pomaga profesor Mieczysław Dubak.
Dziękuję więc Panu, Panie Mieczysławie za pomoc podkreślając,
że jest Pan kopalnią wiedzy o urokliwym Pajęcznie.

Emilia Ziernicka, Izbica

Emilia Zimnica, Ścieżki życia, Pajęczno 2011.

Emilia Zimnicka, Izbica

MOJE STRONY RODZINNE

Moje strony rodzinne
Zamoście, Strzelce, Pajęczno
Tam Pani Łaskawa
Króluje nad sercami wiemych
Mając matczyną opiekę
Historia tych ziem
Od wieków
Przeplatana jest walką
O polskie zdobycze
Bohaterstwem mieszkańców
W czasach wojen zachwyca
Tam spoczęły bliskich moich kości
Tam też poznałam
Skarb jedyny, największy
Dar matczynej miłości
Czasem, gdy zamknę oczy
Widzę chatę, krytą słomianą strzechą
Pola jesienne, zamglone
Z gruszkami na miedzach
Wiśnie karłowate jak u Kasprowicza

Wiejskich dzieci
Smakołyk jedyny
Zapach jabłek
W domu rodzinnym
Nieuchwytny czar października
Schwytanego w siatkę pajęczyny
Idzie za mną przez świat
Obraz postaci matki
Mądrej, pracowitej
Dotyk jej ręki, głaszczącej
Mnie po głowie
Zdaję się że za chwilę powie
Dziecko... przez życie i lat
Przemijanie
Zło zginie... a dobro zostanie

ZIMA MEGO DZIECIŃSTWA

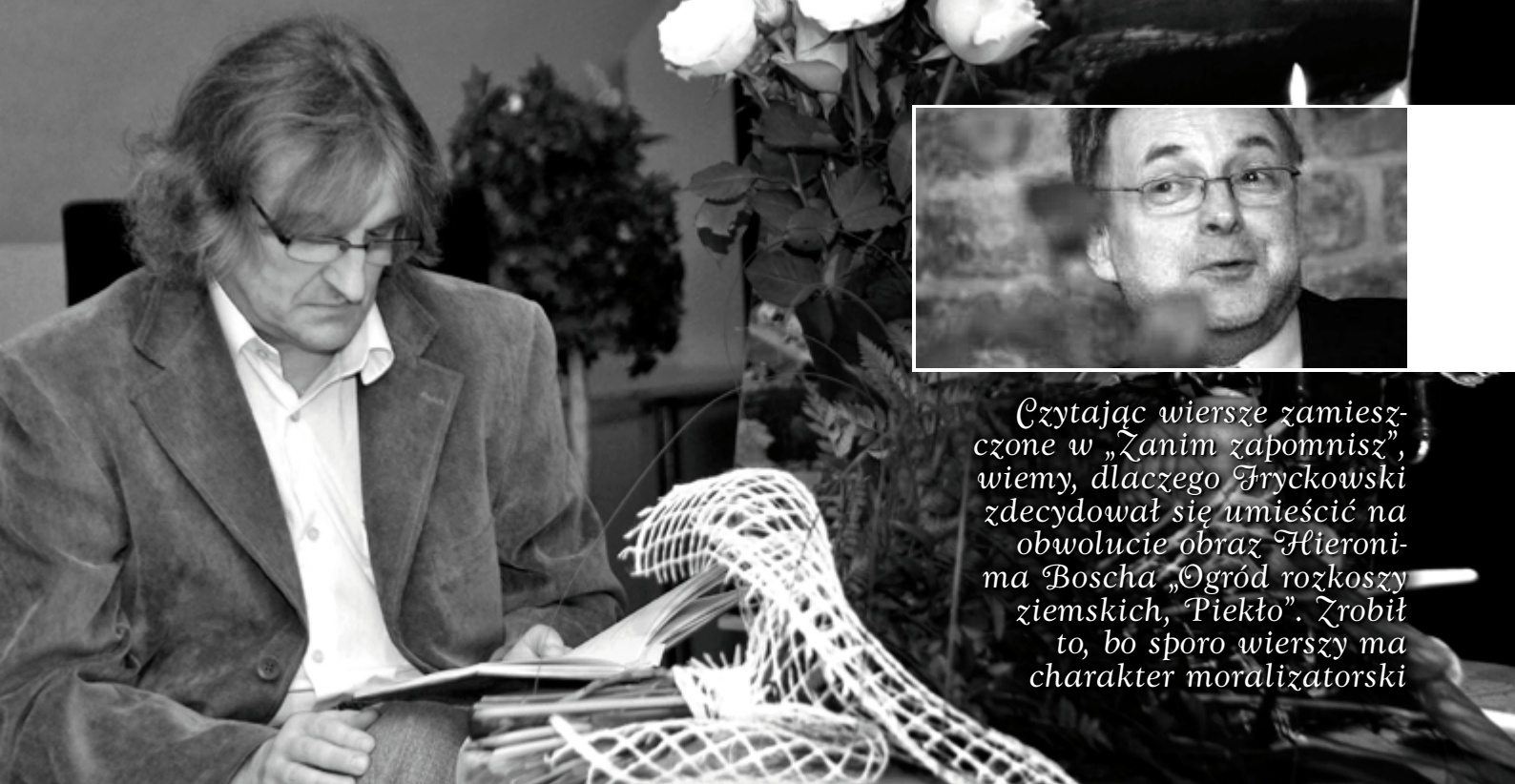
Zima mego dzieciństwa
to moje Zamoście
Wioska w częstochowskim
otulona płaszczem bieli
Na śniegu małe punkciki kuropatw
Ścigał z góry bystrooki jastrząb

Dym z kominów
sięgał pułapu nieba
ścieżki koto płotów
lśniły szkłem lodu
w ciepłym rodzinnym domu.
na kaflowej kuchni
Mama gotowała duży gamek
zupy
którą dzieliła nas dzieci
i biedniejszych sąsiadów
Zima mego dzieciństwa
to wielkooki mróz
od którego pękały drzewa
w przydomowym sadku
Dobra twarz Witkowskiej
wiejskiej bajarki
szary kot na łóżku
pies przy budzie
i wszyscy życzliwi ludzie
jakże inni od dzisiejszych
Skupieni wokół ognia
przy rozmowach o duchach
i południcach
zima to ja mała dziewczynka
czytająca sąsiadom
przy skąpym świetle
naftowej lampy
dr „Wilczura”

PAJĘCZAŃSKA ZIEMIA

Pajęczańska ziemia
osnuta srebrną pajęczyn
nicią
Pachnąca sadów bogactwem
Owiana mgieł tajemnicą
Ziemia potem pokoleń
zroszona
Pieśniami w czerwień ukwiecona
Sercu jak miłość
Jedyna, matczyna, bliska
Zamoście, Pajęczno, Siedlec, Wistka
Zawsze jak w duszy
wspominam
Bo nigdzie takim złotem
Nie płoną łubiny
Nigdzie wonniejszej nie znajdziesz
Maliny
Nigdzie dziewcząt piękniejszych
Nie spotkasz
Gdy na sumę idą strojne
Oberka siarczyście, nikt tak
Nie zatańczy
Jak na tej ziemi
Dobrej, cichej, spokojnej.





Czytając wiersze zamieszczone w „Zanim zapomnisz”, wiemy, dlaczego Fryckowski zdecydował się umieścić na obwolucie obraz Hieronima Boscha „Ogród rozkoszy ziemskich, Piekło”. Zrobił to, bo sporo wierszy ma charakter moralizatorski

zrozumieć, by przebaczyć

Opublikowanie wyboru wierszy jest obarczone szczególną odpowiedzialnością. Trzeba spośród setek albo tysięcy utworów wyłowić te, które najlepiej ukazują dorobek poety. W tym celu należy poskromić nadmiar emocji i pokierować się rozważą, by powstała wartościowa konstrukcja tomu. Oczywiście zdarza się i tak, że co innego odpowiada autorowi, a co innego czytelnikowi. Jednak konsekwencje publikacji ponosi poeta - otrzymuje pochwałę albo spotyka go dezaprobata. Ważne, by twórca i odbiorca tekstów nie mieli poczucia straty czasu, zajmując się wolumenem.

Jerzy Fryckowski, poeta, satyryk, krytyk literacki, dziennikarz, animator kultury, fan grup rockowych Deep Purple, Budgie, Uriah Heep i The Doors, nauczyciel polonista mieszkający w Dębnicy Kaszubskiej, opublikował wybór wierszy „Zanim zapomnisz”. Zamieścił w nim sto osiem utworów. Książka została wydana w serii Biblioteka „Tematu”. Szata graficzna publikacji jest wykonana starannie i przejrzysto. Na pierwszej stronie twardej okładki widnieje fragment obrazu Hieronima Boscha „Ogród rozkoszy ziemskich, Piekło”. To prawy panel tryptyku namalowanego w technice olejnej na desce. Całość powstała w latach 1480 - 1490 i obecnie znajduje się w muzeum Prado w Madrycie. W tej części tryptyku dominują barwy ciemne, które dobrze oddają klimat dzieła, a także uzmysławiają tragizm niegodziwego życia ludzi. Niderlandzki mistrz straszy widokami wyrafinowanych tortur, jakim są poddawani grzesznicy. Człowiek-drzewo, ukazany w centrum kompozycji, którego pień przypomina skorupę pękniętego jaja z umieszczoną w nim gospodą, ludzie obsługiwani przez ropuchę - wszystko to wywołuje przerażenie i niesmak. Czytając wiersze zamieszczone w „Zanim zapomnisz”, wiemy, dlaczego Fryckowski zdecydował się umieścić na obwolucie ten właśnie obraz. Zrobił to, bo sporo wierszy ma charakter moralizatorski; przy czym wątpię, by takie określenie podobało się autorowi. Ponadto w książce znajdują się rysunki i karykatury samego poety. Najbardziej podobają mi się wyolbrzymienia charakterystycznych cech Fryckowskiego wykonane przez Krzysztofa Tobołę, Andrieja Miercałowa i Jacka Frankowskiego.

Wybór zawiera wiersze o zróżnicowanej tematyce. Autor podejmuje tematy związane z psychiką człowieka, dotyczące relacji rodzinnych, umiłowania wielkiej i małej ojczyzny, erotyki, wierności psa, przyrody, patologii społecznej, cierpienia, śmierci i miłości. Dobierając utwory, Jerzy Fryckowski zadbał o to, by czytelnik mógł przez nie poznać jego filozofię życia oraz zapatrywania na niektóre zagadnienia egzystencjalne i metafizyczne. Odnosząc się do kwestii zasadniczej: pytania, jak żyć, nauczyciel z Dębnicy Kaszubskiej nie daje jasnej odpowiedzi, zdaje się odsyłać do słów Antoine'a de Saint-Exupéry'ego: „Życie nie jest ani proste, ani złożone. Jest”. Jednocześnie ma odwagę przyznać, że wielu rzeczy nie wie:

*Naprawdę nie umiem ci odpowiedzieć
czy to Bóg ukarał dinozaury
i meteorem przystoił im światło
(...)
nie wiem córeczko
być może psy idą do nieba
tak często modlą się wyciem o naszą rozważę
(...)
nie wiem najdroższa
dlaczego Bóg wymyślił raka
przecież zdarzają się cuda
i włosy znowu odrastają czasami powraca wzrok
(...)
nie umiem ci odpowiedzieć
czy byłoby mniej wojen
gdyby pastuszkowie znaleźli w stajence
dziewczynkę
(„List do córki”)*

W kontekście tego wiersza wolno twierdzić, że Jerzemu Fryckowskiemu nie jest obca myśl Blaise'a Pascala: „Jedni boją się, że Boga mogą stracić, drudzy boją się, że mogą Go znaleźć”. Poeta nie sumituje się ze swoich wątpliwości, jest

gotowy na literackie i stricte życiowe osądy. Taka postawa świadczy o pokorze i przekonaniu, że nie da się postępować tylko rozumnie.

Z omówionym utworem koresponduje „List wigilijny do matki”. W utworze daje się zauważyć istotę zmartwienia, wynikającą z obawy o efemeryczne i niedojrzałe podejście syna do Boga. Rodzicielka z zaświatów daje mądre rady, przy czym na pierwszy plan wybija się prawda o potęgze miłości do dziecka:

*Syneczku, zapach siana gaśnie pod obrusem,
wciąż omijając Boga, modlisz się o matkę,
ja za twoje zwątpienie rumienić się muszę,
twoje grzeszne modlitwy przyjmować ukradkiem.*

(...)

*Synku, podziel opłatek, rodzina już czeka,
urosteś mi tak nagle bez mojej opieki,
wiem, że nosisz mój obraz pod mokrą powieką,
też śnię, jak parzysz kawę, jak niesiesz mi leki.*

Z wiersza można wnioskować, że poeta wstuchiwał się w słowa matki i była to ważna nauka. W środowisku literackim trwa dyskusja: pisać o prywatności czy o sprawach publicznych. Poetyckie „wypowiadanie” siebie jest bardziej popularne i łatwiejsze. Tworzenie strof o swoim życiu to dzielenie się tym, czego autor zaznał, co przeżył. Można twierdzić, że taka twórczość nosi znamiona autoterapii, a odbiorca nie zawsze

ma ochotę z nią się zapoznawać, a tym bardziej „zaprzyjaźniać”. Pisanie o rzeczach publicznych wymaga dogłębnej znajomości tematu, który może mieć różne, nie-raz skomplikowane aspekty; to także konieczność postu-żenia się historią i innymi naukami. Czy wobec tego poetyckie „zajmo-wanie się” sprawa- mi społecznymi i państwowymi jest na wymarcu? Nie. Przykładem autor recenzowanego zbioru. Przygląda się bacznie temu, co dzieje się w na-szej ojczyźnie; nie-

pokoją go fakty społeczne, historyczne, gospodarcze i kulturowe. Przy czym dostrzega korelację między tym, co ogólne, i tym, co prywatne:

*Czasem jest bardzo daleko
a czasem tylko na rzut kamieniem
ma kształt półlitrowki wypitej na chorzowskim
statusiųczniku*

*lub postać uprzywilejowanej Madonny
balansującej na bieleżnianym sznurze
rozwieszonym pomiędzy zlewem a kołyską
jej oczy to oczy kobiety myjącej nocami wagony (...)
(„Polska”)*

Tadeusz Śliwiak, nieżyjący wybitny poeta krakowski, tworzył poruszające wiersze o przedmiotach codziennego

użytku; pisał o butach, koszuli, igle. To były wiersze dosko- nałe warsztatowo i tematycznie, tym bardziej więc szkoda, że poeta nie został należycie doceniony. Także Fryckowski zaj- muje się sprawami powszednimi, również tymi kłopotliwymi. Mamy wówczas do czynienia z formą biczowania społeczne- go, a czasem z aktem samobiczowania.

*Maccho moja
nigdy nie odmawiam ciebie
i modlitwy
obejmuję za smukłą szyję
przelewam z pełnego w próżne
jesteś wtedy naga i kroplista
czysta
jak po pierwszej komunii (...)
(„Wódka”, Zbigniewowi Jerzynie)*

Można rozprawiać o powyższych wersach, analizować je, coś udowadniać albo czemuś zaprzeczać, a można tylko odwołać się do aforyzmu Demokryta: „Żyjemy nie tak, jak chcemy, lecz tak, jak potrafimy”.

Pisanie erotyków jest samozradzaniem się (pojęcie Tadeusza Peipera) w materii najbardziej osobistej. Trzeba szczegól- nego taktu, by przeżywaniu fizycznych i psychicznych uniesień nadać wymiar subtelnej spowiedzi. Poeta musi mieć świadomość tego, że wiersz może stać się przyczyną nie tyl- ko literackich rozważań. Taka poezja ma moc potęgowania uczuć. W swoich erotykach Fryckowski uzmysławia znacze- nie „współgrania” somy i psyche (co nie dla wszystkich jest oczywiste):

(...)

*Rozbiorę cię tak byś słyszała lot ptaków
byś poczuła na sobie trzępot ich piór
niesiony z ciepłych krajów dzieciństwa*

*Rozbiorę cię tak aby było ci do twarzy z nagością
która rozпали tupot moich palców
i nawet pod groźbą snu
nie odwrócę się plecami
od twoich piersi
(„Rozbiorę cię”)*

W poezji autora niniejszego tomu ważną rolę odgry- wają zwierzęta, w szczególności psy, które są wierne i opiekuńcze. Wiele osób tego nie zauważa lub bagatelizuje taką prawdę. Więcej jest psów zranionych przez człowieka niż istot ludzkich pogryzionych przez te stworzenia. Mają dobry instynkt, potrafią wyczuć, kto jest dobry, a kto zły. Zasługują na poważne i przyjacielskie traktowanie. A skoro spotyka je krzywda od ludzi, to wezwanie Feliksa Dere- kiego: „W sprawach gehenny zwierząt w naszym kraju nie wystarczy bić na alarm, trzeba bić po głębie” ma swoje kło- potliwe uzasadnienie. Jerzemu Fryckowskiemu to nie grozi, jest dobrym i mądrym przyjacielem udomowionego wilka szarego:

(...)

*Wykrzykiwałem tylko imię psa
gdy wypływał na powierzchnię
a potem tuliłem do siebie
trzęsące się mokre futro
wybaczyłem mu wszystkie nieposłuszeństwa
i tych siedem uduszonych kaczątek
których puszyste duszyczki poszły do nieba
jak mawiała moja córka (...)
(„Skotawa”)*

A skoro o relacjach między człowiekiem i psem, warto przytoczyć też fragment wiersza „Droga do Skarszewa”:

(...)

Potem przyszedł ten starzec, czuć go było moczem.
Jąkając się zapytał, czy może mam ogień,
bo tej zimy pod mostem takie chłodne noce.
Wziął pudełko zapalek i rzekł: „Zostań z Bogiem”.

I zostałem na drodze z Bogiem i psem moim, który skomlał jak nigdy, bojąc się obcego.

A On, kiedy odchodził, w moich łzach się dwoił i nie zostawiał śladów w topniejącym śniegu.

Z wierszy Jerzego Fryckowskiego przebija bogate doświadczenie, wiedza na temat zachowań ludzi i zwierząt, literacka i osobista pokora, a jego eksperyjencja w zakresie warsztatu

literackiego nie podlega dyskusji. Kreda życiowe, a także artystyczne tego poety można określić słowami Barucha Spinozy: „Nie płakać, nie gniewać się - ale zrozumieć”.

Zbigniew Górdziej
Poznań

Jerzy Fryckowski, „Zanim zapomnisz”, wybór wierszy. Na okładce: Hieronim Bosch, Ogród rozkoszy ziemskich, Piekło. Autorzy rysunków i karykatur autora: Krzysztof Toboła, Czesław Guit, Teresa Ciepiera, Władysław Szproch, Andriej Miercałow, Wiesława Baszanowska, Jacek Frankowski oraz autor nieznan. Redaktor: Dariusz Tomasz Lebioda. Wydawca: Biblioteka „Tematu” nr 37, Bydgoszcz 2010.

filozof miłości

Jeśli miałbym poszukiwać porównań, a spędziłem wiele lat w bibliotekach i na lekturach naszych (i nie tylko) wielkich poetów, to bym teraz porównał Zygmunta Prusińskiego z Zygmuntem Krasińskim! I idę o zakład, że moje uczone koleżanki profesorki od romantyków, musiałyby ulec powadze argumentów, właściwych tej dziedzinie wiedzy...

Otóż, poeta Zygmunt Jan Prusiński wcale nie liczy na jakąś miłość, że gdy będzie używał słowa „miłość” to kobieta chętniej itp. Poecie, to pisanie się nadszyczał udato. Tyle szczerzego, nie wymyślonego, bezpretensjonalnego, powtarzającego od początku świata... banału! A tymczasem jest to tak świeże i prawdziwe, że tu wcale nie chodzi o jakieś tam zakichane miłości... Ludzkie miłości... jakie znamy na co dzień, jakie żeśmy w swym życiu przeżyli, to zdaje się betka... przy smutku, z niemożności osiągnięcia prawdziwej miłości... w świadomości, a raczej w podświadomości Prusińskiego, że miłość to coś horrendalnie absurdalnego. I poeta to wie... i cierpi... jakby cierpienie było sednem miłości.

Poeta Prusiński, jako filozof miłości, wszystko to wie! I te erotyki nie są skierowane do ziemskiej kochanki! Jeśli już to do takiej, która nie istnieje albo już umarła, albo lepiej by było, żeby się nie narodziła lub przed narodzeniem umarła! Bo któraż to z kobiet potrafi pieścić otwarte serce w wazonie, pana Zygmunta. Ja na nic takiego bym się nie zdobył. U mnie sytuacja metafizyczna przebiega inaczej! Tymczasem Prusiński, nie! On przeżywa inaczej, „głęboko” po młodopolsku i pisze jak Edward Stachura: „struny gitary leniwe jak nigdy!” - Co za piekło! (Z tym, że u Stachury nie było kobiety!) Co za boleści i cierpienia! I dalej pisze: „Jednak wiemy oboje, że nasz nurt miłości przetrwa”. Otóż nie przetrwa! Poeta wie o tym, że nie przetrwa.

W każdym wierszu miłość się rodzi i umiera - od nowa! Prusiński to wie i to samo czuł, gdy tytułował wiersze: dla Mar, dla Wieśki, Józki, Maryśki. Wszystkie traktując jak markizy! Jak anioły. Jak matki boskie! Z najwyższym szacunkiem, i wiedział, że mimo to nic nie przetrwa! Każdy wiersz kończy się w gorzkości smutku! On ma w żołądku samą „żołądkową gorzką”! Po ile ona, poeto?

To bardzo piękne i smutne wiersze! I żadne rewelacje! Żadne takie fajerwerki zadziwiających pomysłów, żeby aż zatkało! Tu nic nie „zatyka”, bo tak jak u samego Pana Boga, „wszystko jest spięzzone!” (Przychodzi mi na myśl „Ostatnie tango w Paryżu”). Bo przecież po wszystkich zajrzeniach w serce Prusińskiego w kryształowym wazonie, poeta powinien kochance ulżyć w spędzeniu z jej krwiobiegu w miednicy małej nadmiaru napięcia nerwowego z podniecenia (z długotrwałego przekrwienia) od słów: „kocham, całuję pieprzyki między twymi nogami” etc. Od tego kobiecie staje łechtaczka i śwędzi! A tu nasz poeta zamiast doprowadzić ją do orgazmu i uwolnienia od napięcia (biedna kobieta!), „zbliży się do granicy jej kolorów!” Niech go licho! Jednakże, mimo tego, nasz poeta, nie daje (Sylvii Żwirskiej) żadnej nadziei, w żadnej aluzji, że jednak zrobi coś fizycznie! Tu nie o fizyczność chodzi! Tu chodzi o „usunięcie zwątpienia” z ciała Prusińskiego: „gdy ona wbije się w niego, w jego ciało, ostrzem promienia, jak motyl.” I tu również nie chodzi o niezdrowe konotacje ponaddziwiewnastowiecznej poezji epatującej fizycznymi obrazami seksu... Tu chodzi o nadanie sensualnego wyrazu ludzkiemu życiu. A tego w poezji Prusińskiego brak. Poeta jeszcze Żwirskiej nie poznał osobiście i fizycznie (nawet w pociągu), a już (do czego ma zresztą - licencja poetica - prawo) akcja poetycka utyka w miejscu, gdzie zwątpienie nie pozwala na dotyk, pocałunek, podniecenie, bo inaczej, po jakiego diabła poeta miałby się zbliżyć „do zrozumienia jej kolorów”? Ja to doskonale rozumiem (dlaczego) i mogę na ten temat napisać pięćset stron analizy, ale czy to jest potrzebne (taka gadanina!) zwykłemu zjadaczowi chleba? Pomijając pytanie, czy w ogóle poezja Zygmunta Jana Prusińskiego jest potrzebna zjadaczom poledwicy?

Czytuję różne wiersze, ale dopiero u Prusińskiego trafiłem na ciekawy, współczesny melanż, mianowicie najpierw są stodziutkie porównanka i głupiutkie (czasem) apostrofy,



wiersze najnowsze

Zofia Kamińska-Smalewska, Słupsk

O JESIENNEJ MIŁOŚCI

Gdy spełnia się marzenie sen staje się jawą
Gdy dotykam myśli o szczęściu
dwa słowa Ja i Ty otulają mnie ciepłym
woalem
jesieni

Wiem przyszłaś wreszcie
- szeroko otwieram ci drzwi
ocieram łzę zamykam oczy i wsłuchuję się
w twój oddech

Nic nie zakłóca nastroju nie płoszy
dobrych myśli

Jeden gest odrobina czułości
- łatwo zatracam się w zapomnieniu
Romantyczna melodia odbija się od ścian
zamykam okno ulatuję w obłokach
twych ramion
w ustach czuję prawdziwy twój smak
jesiennej miłości

PRZEZ ŻYCIE RAZEM

Noc zbyt wcześnie pożegnała okna
ranek był gościem jakby nieproszonym
Ich ciała jeszcze wirowały namiętnie
- w tańcu marzeń z promieniami słońca

Ich usta połączył nieśmiały pocałunek
W słońcu pocałunki stały się gorętsze
On podszedł do okna aby go otworzyć
a potem serdecznie wzięli się za ręce

Ona - jak motyla goniąc za marzeniem
wtuliła się z oddaniem w jego ramiona
Ścieżką dnia powędrowali przez życie
od nowa budząc radość miłość i nadzieję

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

ANNA DE CROY I STANGRET ZE SMOŁDZIŃSKIEGO LASU

Opiekunka pcha wózek inwalidzki,
który niczym rumak
powozi starca. Wózek skrzybi, staruszek
chybocząc się
usiłuje coś powiedzieć opiekunce. Ona
jednak zapamiętała
wyklóca się o miłość, nie odejmując od
ucha komórki.
- Pani poprawi popręg - starcowi udaje
się wreszcie
zwrócić na siebie uwagę opiekunki.-

Dobrze dziadku,
tylko zatrzymamy karetę. O tu pod
jesionem - pokazuje
na rozroście drzewo, w cieniu którego
wybiera schronienie
dla starca. - To nie do ciebie! Z
kim jestem? A z kim mam być?! Ze
stangretem! - krzyczy w telefon do
kochanka.

Opiekunka wie, że staruszek był
stangretem, powoził
w tym ogromnym niszczącym zamku,
którego kolejne
licytacje spełniają na niczym. Tu w
kraju nikt nie ma
takich pieniędzy, a na Zachodzie coraz
uważniej inwestuje się
w zabytki. Zresztą, jaka księżna
chciałaby dworować
na pustkowiu dusz, bez służby,
wystawnych przyjęć,
sprzedając pokoje turystom i bilety do
książęcego muzeum.

- Zuzia poprawi wreszcie ten popręg -
dopomina się starzec.
- A co ja do diabła jestem pańskim
stajennym?! - opiekunka
denerwuje się, wpychając wózek do
cienia. Skarcony starzec
łagodnieje. - Oj madame, ja nie
zauważyłem, że zajechaliśmy
pod pałac. Księżna wybaczy,
przywołam lokaja
- jego dłoń zakreśla nieudolny ruch
służalczej woli.
- Już dobrze - uspokaja go opiekunka. -
Wszystko poprawimy
- podciąga starca, jakby nic nie ważył i
wpycha w wózek.
- Teraz okey? - pyta z zatroskaniem. - No
to odpoczywamy,
bo zgaszę światło - pokazuje na słońce.

Tylko nie to - protestuje starzec. - Czy
księżna pokaże mi
nózie? - błagalnie unosi ręce. - Chcę
zobaczyć podwiązkę.
- Opiekunka rozkłada koc na trawie. -
Zuziu - starzec
denerwuje się. - Gdzie jest księżna
Anna de Croy?
- A co? Stangret nie widział, że poszła
na salony?
- To bardzo dobrze. - Możesz rozebrać
się do naga. Nikt

nas nie zobaczy - szepcze starzec. -
Zboczeniec!
Durny stary zboczeniec - wzdycha
opiekunka,
rozbiiera się do naga, kładzie na kocu.
Starcowi mętnieje
wzrok. Zасыpia w cieniu jesionu, jakby
zgaszono mu słońce.

Irena Peszkin, Koszalin

SPACER KU JESIENI

Na błękitie bladym
wysmagany aurą października
ujrzałam dzisiaj
klucz do nieba

rozkrzyczany, ruchliwy
czarny klucz
ostatnich żurawi -
ulotne znamię jesieni

i to muśnięcie
złotym zapachem liścia
co zawirował i sfrunął na ramię
jak kropka nad „i”
jesiennej impresji

spacer jesienny -
urokliwy
jak udane kadry filmu
z efektami szelestu
chrzęstu żółędzi
akcentami irgi wielobarwnej
szczębiotu rozkosznego
wśród krzewów
i koralowych jarzębin

w aurze niezwyklej
cichy powiew nostalgii

obrazy zamotane
w srebrny muslin pajęczym
ułożę do snu
w kokonie pamięci

Wanda Majewicz-Kulon, Bytów

BIAŁA ŚMIERĆ

Upadłe anioły błakają się
Między piekłem a niebem
Między życiem a śmiercią
Nie podcięto im skrzydeł
Same wyrrywają z nich pióra
Szczykawką heroiny
Codzienne pióro po piórku

Z własnej głupoty bywają
Samotni i opuszczeni
Marihuaną zabijają pustkę
Pustosząc swe ciała i dusze

Nie bacząc na to, że:
Za winklem biała śmierć już ostrzy kosę
na żniwo...

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

INWALIDA

Dawniej inwalidą był człowiek
bez części nogi, ręki.
Dzisiaj jest to człowiek, częściowo kaleka.
Inwalidą jest człowiek nie mający
Płuc, serca lub głowy.
Żeby otrzymać inwalidztwo i rentę
trzeba iść na komisję lekarską
z sercem w plecaku, głową pod pachą
lub płucami wiszącymi na gałęzi

POZNAŁEM BIEDE

Bieda wyszła z worka
pustego po ziemniakach
Zagościła w garkach i na talerzu
po wszystkich kątach.
A nawet pod miotłą, gdzie
zawsze cicho siedziała mysz.
Bieda chlipała i pojękiwała.
Ona jak opanuje człowieka,
to opanuje wszystkie jego
wnętrznosci i zakamarki życia.
Trzeba z nią być
za pan brat i ją polubić,
bo jak inaczej z biedą walczyć,
gdyż bieda odbiera szansę.
Wrzucony kamień do
pustego garnka żupy
nie stworzy, a pozostanie
tylko kamieniem.

Emilia Zimnicka, Izbica

WIEJSKIE KAPLICZKI

Małe wiejskie kapliczki, stojące przy drogach
Widzą wiele, a Ty Matko Najświętsza
Płacząca nad każdą nędzą, niedolą
Zapatrzone w słońce, albo nocną ciemność
Przytulasz każdą nędzę i cierpiącą duszę
Ty, która męki Syna zносиłaś katusze
Pochylasz się nad smutnym, samotnym
człowiekiem
Tak jest i tak było przez minione wieki
Wiatr ze srebra piasku sywał wydmy białe
Ty stałaś na rozdrożu swej dobroci darem
Koitaś wszelki ból i wszelkie cierpienie
Orędowniczko Nasza na ojczystej ziemi

BEZ TYTUŁU...

Już mgieł welony...
Ściesz drogę
Myślom jesiennym zadumanym,
Ciszą bezgłośną... serca tuląc
Świerszczy jesiennych...

Tęsknym graniem.
Ptak się zamyslił na gałęzi
Lecieć nie lecieć...
W groźną dal
Gniazdo bezpieczne pozostawić
Jak domu... człowiekowi żal.
Ptak, tak podobny...
do nas ludzi
W pożegnań bliskich.
Smutku dniach.
Serce zostawia swe ojczyźnie
Za chlebem lecąc
w obcy świat.

Anna Karwowska, Dobieszewko

PAMIĘĆ

Dawno to było
dwadzieścia, może więcej lat
stała obora, w niej krowy
stajnia, konie, kuźnia
stróż, robotnicy, dzwon
który dzwonił do pracy i na fajrant.
Kiedy to było?
Zostały zgliszczą, kamienie
zielona trawa
tamten świat nie istnieje.
Człowiek jak zadra w krajobrazie
jak ptak bez gniazda
o wszystko pyta wiatru i trawy
- pytania bez odpowiedzi
a krzyk kamieni - bez echa.
Już inna wieś
nocami dzwonią cienie
człowiek obojętnie chodzi -
pamięć zawodzi
wystarcza tylko myśl
o ciepłym postaniu

Katarzyna Skwierz, Budowo

Posmaruję Ci kromkę chleba miłością
Przyjmiesz ochoczo, pełen wdzięczności.
A ja poproszę byś ze mną pozostał.
Byś nie był nigdy, już nigdy głodny,
bo jesteś przecież do mnie podobny.
Bo jesteś Człowiekiem,
mym bratem w Chrystusie,
choć głodującym, a jednak mym bratem.
Chcę się podzielić z Tobą tym chlebem,
oraz miłością bo tego Ci trzeba.

EUCHARYSTIA

Cisza kościoła
Słowa modlitwy
cicho szeptane.
W tabernakulum złotym
Twe ciało Chryste
w białym opłatku

- Przeistoczenie
W kielichu złotym
Twoja krew
przelana za nas na drzewie krzyża

Ustami Kapłana
wypowiedziane
Słowa...
Ofiara

Aneta Rzepecka, Damnica

NOCNY ANIOŁ

całowaliśmy się metafizycznie
w waniliowej mgle
twoich włosów

na sienniku marzeń
szukaliśmy siebie
dłonie zanurzone we włosach
kradły spełnienie

nocny obieżyświat
przyswiecał lampionami gwiazd
nad oceanem naszych westchnień

tamtej ostatniej nocy padał deszcz
z okrucich nieba pod rzęsami
poszliśmy daleko w siebie

we wschodach twoich oczu
myśli rozbrane z rozsądku
twoje ciało spowite
w moje dłonie

w fałszywym świetle
zostałem na szyi malinkę
sam nie mogłem zostać

WZROK ZENITALNY

rotundami oczu
podpisujemy siebie
niewidzialnie przytuleni

żrenice przetaczane
po plecach

nurt hormonów
żłobi strumień
między piersiami
patrzysz higroskopijnie

dłonie imigrujące do siebie
myśli wplecione
w cienie pod powiekami

splamione słońce
w orbicie tęczęówek
suszymy się po praniu

na czole bruzda
dzieląca płaskowyz
na ciebie i mnie

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Cholemie ciężko wytrzymać z takim
facetem Sąsiadka z dołu żartuje że
mam w domu drugiego Norwida a mi
nie jest do śmiechu Mój stary z siwym
łbem kompletnie nie nadaje się do życia
Co z tego że pisze podobno świetne
wiersze skoro w realu trzeba się z nim
męczyć O wszystko o najgłupszą sprawę
muszę martwić się sama Nie rusza go
cieknący od miesiąca kran Zepsuta
spłuczka też domaga się naprawy W
śmierdzącej koszuli małżonek chodziłby
cały rok Robi łaskę że wyniesie śmieci
Przed prasowaniem czy sprzątaniem
broni się jak diabeł święconej wody Po
przyjściu z pracy zmienia się w pasożyta
Aktywny jest tylko w czytaniu kolejnych
książek i w buszowaniu w Internecie
Zamyka się w swym pokoju by tworzyć
coraz lepsze dzieła i udzielać w nich
czytelnikom mądrych rad

Absolutorium jedynej córki wygoniło
ojczulka z pracy za granicą na trzy dni
Przyleciał zziębnięty samolotem Wysoko
unoszą głowę i cieszą się jak małe dziecko
Wydał na wykształcenie Martuni
dużo pieniędzy ale nie żałuje Nie ma
wyrzutów sumienia że podobnie nie
przyleciał na pogrzeb zdziwaczałej
ciotki albo zdegenerowanego kuzyna
Ma w dupie dalszą rodzinę Ważna
jest dla niego kasa kasa Musi przecież
zarobić na chatę na widok której
wszystkim wyjdą gały do przodu
Córka zrobiła już w tym kierunku
dobry ruch Na początku niech mu
zazdroszczą udanej pani stomatolog
Może wreszcie skutecznie zadba o
szczerbatego tatusia i przywróci mu
dawny biały uśmiech

Mirostawa Karolewska, Szczypkowiece

Napisać pieśń najsmutniejszą
wygonić ją z serca
Niech w końcu ono zacznie uśmiechać się
Niech z niego zniknie cień
Niech zajaśnieje

W którą stronę iść nie wiem
Rozczarowuje człęk
A wiem żeś Ty za nim biegł
Biegł aż w gorącość krwi

Stoję więc u tych drzwi
Katedry drzwi
Już otworzonych
Rozglądam się na wsze strony
Lecz dokąd skierować pierwszy krok nie
wiem

Cóż się ze mną dzieje
Zwykle odważnym tak
Czekam na znak
Jak go rozpoznać gdy się pojawi
Jak uodpornić się na zawiść
Proste pytania
Proste
Więc dlaczego

Przyjąć słów chłostę?
Głowę podnieść wysoko gdy wokół nikogo
Dla kogo żyć dla kogo

Którą pójść drogą

Skoro zachęty od nikogo
Skoro
Ubogo

Czego szukać w tej dali
Co się blaskami pali
Cóż zrobić ze sobą
O to pytam ja - Owasimodo

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

DO REŻYSERA

Rekwizyty już rozdane: srebrna broda,
fajka z bursztynu, sakpalto najnowszej mody,
trójzębne berło Posejdona.
Scenograf ustawił wieże spiętrzonych wód,
statek z krótką linią życia,
ziarna piasku skazane na banicję.

Mam prośbę, reżyserze,
spraw, bym nie musiał spotkać oczu
pięknych córek bosmana.
Spójrz, stoją tam pod wydmą,
każda z lokami blond.

Pozwól, by las stał aż do ciszy po ostatnim
akcie.

Niech patrzy rzeka, wycięte pole
i spalona knajpa przy latarni morskiej.

Teraz jestem gotowy.
Jeszcze tylko włożę srebrną brodę dziadka
i sakpalto z pluszowym kołnierzem.
Daj mi ognia, niech rozżarza bursztyn fajki.
Niechaj płyną decybele rozwyrzonych fal.

RDZEWIEJĄ DRZEWA

owoce błyskają rumieńcem
słonko przecieka między liśćmi

w brzemieniu ogród wsuwa spokój
przełożony aromatem jabłek

coraz niżej chylą się południa
zaglądają przez okno do kuchni
gdzie w stoikach czerwona luna
przenika warstwy sliwek

gdy wieczór rozgości się w sadzie
chciałabym usiąść pod jabłonią
połykać bezdech naszych rozmów
jak kawałki tortu orzechowego

Andrzej Szczepanik, Bytów

KUGLARZ

wszedł na pustą scenę wiejskiej szkoły
wytarł usta kraciastą chustką
sygnął chmurą kolorowego konfetti
i usiadł na tle białej ściany
z napisem: niech żyje 1 Maja
ubrany w słoneczno żółtą marynarkę
z czerwonym kwiatkiem w klapie, białe buty
i czarne spodnie z mankietami
jak postać z cyrkowego plakatu
nogami przytrzymał błyszczącą
wygiętą w łuk srebrzystą piłę
przeciągał po niej smyczkiem
wydobywając melodię zawodzącą
płaczliwym jękiem
delikatną, smutną i piękną, drżącą jak
struny harfy
przypominał mi dziadka Henryka
grającego na fortepianie
wiedeńskie walce...
biliśmy brawo, tupali z radości i podziwu
potem jak cyrkowy kuglarz połykał
zapalone papierosy
stawiał sztorem kawałki sznurka,
z rękawa marynarki
wyciągał pęki powiązanych kolorowych
chustek
na koniec zaśpiewał balladę o żołnierzu
co poległ na wojnie
ukłonił się, a my znów biliśmy i biliśmy
brawo za występ
z okazji pierwszomajowego święta
1947 roku.

BEZ BLASKÓW

Kiedy mówią - nadchodzi jesień
czuję dreszcz chłodu biegnący wzdłuż pleców
gdy pytają - jaka będzie?
widzę sznurki wody
cieknące po zmatowiałym smutku szyb
czy długa?
wtedy z lękiem myślę o rachunkach za ciepło
nudzie nieuniknionej leniwej
pełnej usypiających treści
i bukietach wysuszonych traw śpiących
w objęciach gościnnych wazonów

spójrz wtedy w niebo - radzą
więc patrzę na nisko wiszące
zaciągnięte ciemną chmurą
wystudzone i mokre
słucham wiatrowej muzyki
i liczę liście przyklejone do szyby
we wrześniu moje urodziny
wejdę w jesień
pod parasolem mijającego czasu.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

LIST WIERSZEM DLA ŻONY..

III

Motto: „Wpisana w Ciebie. -
Z tą świadomością, że jesteś”
- Katarzyna Prusiński

Byłem w podróży. Mijałem noce samotne,
zapisalem fragmenty uboczne, mniej znane.
Ten wehikuł czasu otwierał strony -
plusk wody dzwijał w rynnice
a gdzieś struna porzucona od gitary.

Wracam moja żono, bo tyle wierszy
zostawiłem poza miastem na szlaku.
Treści się nie zmieniają - zostają,
jakby w łańcuchach przymocowane tło
ścieliło w nich taką ciszę niepojętą.

Zaglądam do książki jak do twego serca
i czytam mijającym lasom ten fragment:
(Rozgoryczony naród chowa się za ciszą
i za ciemną ścianą niepokoju - rzeźbi
swe niedostatki i sny przerywa często).

Mijam te noce samotne. Opustoszały
jeziora - szeleści przede mną droga.
Tylko ty się liczysz w tej epoce,
dajesz siły przetrwać, jesienne kwiaty
przyniosę ci do domu - przywitaj mnie.

STOIMY PRZED KURTYNĄ ŻYCIA

Katarzynie Prusińskiej

Pagórki zalesione. Strumienie
jakby niezadowolone,
że tak mało mają miejsca.

Ludowy grajek w oknie stoi,
nie wie jak zacząć koncert.
Rozbiera się udręka i idzie spać,
a ja ostrzę myśli o tobie -
nastrajam wciąż znaną nadzieję
na wiadomy sposób grania.

Nie jestem niczego pewny,
i dla mnie jest mało miejsca
żeby otworzyć szeroko okno
i ujrzeć cię idącą ulicą.

Obezwładniam się literaturą,
oglądam twoje zdjęcia
pod kątem ukrytego cienia.

Piszę listy i wiersze piszę,
dorożka jedzie jednostajnie
tylko stukot końskich kopyt
uderzają o brew asfaltu.
Bo ulica patrzy na ludzi -
wypina się jarzębina...

Melodie w twoim ciele
mają poklask luster.
Przyglądam się sukience,
która okrywa piersi
tak dalekie ode mnie,
jak morze Bałtyk od ciebie.

Zасыpiam twoimi kolorami,
tyle tylko mogę się pochwalić.

Teresa Nowak, Łupawa

ŻALE MALKONTENTA

Szkoda, gdy słoneczny dzień kończy się burzą
A po deszczu zostają irytujące kałuże,
Co ochlapują uważnych przechodniów.

Cudownie, gdy po burzy rodzi się tęcza
Czystymi barwami prześwielając łąki i ogrody
A słońce zachłannie spija deszczowe krople.

Przyjemnie, gdy ptaki budzą się wcześniej
od słońca

Przywołując go na nieboskłon
żywiolowym śpiewem.

Dobrze, że w mieszkaniu jest ciepło
I kawa paruje w filiżance.
Szkoda, że kałuże wysychają w słońcu
I kurz przykrywa ogrody.
Szkoda, że tak trudno być zadowolonym
Bo zawsze coś jest nie tak, jakby się chciało.

Katarzyna Nazaruk, Słupsk

ŚWIAT WEDŁUG MITOMANA

Na rogatkach uliczek nieheblowany tłum
ostrugany grubymi ciosami
czasu.

Uczestniczył w prokreacji duszy istnień
mnogich,

braci i siostr samarytanek,
krezusów i internetowych kamedułów,
których nie rozumie świat.

Mewa za oknem i kwiat, który i tak
zakwitnie

gdy nas już nie będzie...

Po co uzurpujesz sobie miejsce

na podium, na piedestale ludzkiej
wydętej dumy?
Trąbo jerychońska. Zaczynasz
z wolna fałszem trącać jak muzyka twej
duszy.

Brzydkiej, chorej, konsumenckiej uczestniczki
wyprzedaży fotokopii piękna Mona Lisy.
Zamrożone twoje ja jak konto bankowe
po przekroczeniu debetu rozważgi i

przyzwoitości.

Maści nieokreślony konsumencie nie
lubisz ciszy.

Rajcuje cię epicentrum chaosu,
kakofonia ulic,

na których marki firm grają bezczelnie
w pokera,

zgrzytanie zębów sąsiada w febrze
pustego portfela.

Niepotrzebne rozgrzeszenie
mantrującego kapłana,
kobiety w szlafroku i stringach,
w biżuterii z banknotów
z którą tańczysz tango codzienności

w ogrodzie wydzierzawionym
od Adama i Ewy, w świetle
hałasujących fajerwerków.

Po swojemu reżyserujesz świat
mitomana: Przybyłem,
zapłaciłem i kupiłem.
Zwyciężyłem, bo mam.

Ptaki uwiją gniazda, a kwiaty zakwitną
nawet, gdy nas nie będzie.

Izabela Iwańczuk, Słupsk

KIEDY MIŁOŚĆ

idzie do nas przez labirynt
płynie rozdwojoną linią bioder
wtedy schodzę do ciebie oddechem

przebijając w dźwiękach
ocieramy się o kocie ciała
słów abys mógł przystąpić jak
Apollo do liry moich bioder

BEZSZELESTNIE

barokowy przepych obłoków
niebiańskie poletko łagodności

lato ptakiem zawisło w powietrzu

miłość opada mgłą z oczu
dojrzałym owocem jarzębiny

nie zapłacze dzieckiem

Agnieszka Klekociuk, Możdżanowo

JESIEŃ

Nadchodzi jesienna
Słota.
Purpurowe życie
Zakrada się w ciszy
W brzmienie czerwieni.

Nastłonecznienie przygasa
Chłodem.
Deszcz obmywa sumiennie
Poranną zorzę.

I namiętność trwa
w kropłach rosy
We mgle zadumanego świtu...

MODLITWA

Modlitwą proszę
O krople rosy
Na moich ustach.
O spojrzenie na jutro
Bmącej codzienności...

U bram św. Piotra
Wskrzyszam swą wiarę
Tłumiąc w sercu
Znamiona miłości...

Elżbieta Szelałowska Słupsk

NOWA JESIEŃ

W pienistej liściastej sukience
Jak Hiszpanka tańczy.
W rękę kastaniety kasztanów

Włosy w siateczce pajęczej
Szalem z astrów okryta
Bez wytchnienia wiruje
Brażu bydkami błyskając
Zatracona w ruchu
Zastuchana w siebie
Słońce zaklina
Wiecznie piękna
Wiecznie zwinna

Na czarnej tące nieba
gwiazd ubywa
Spadają rzęsiście
bys wpatrzonej w ciemność
mógł marzyć
wypowiadając życzenia
głęboko w sercu skryte

filozof miłości - ciąg dalszy ze str. 7



scenie w „Próchnie” Wacława Berenta) - istnieje naprawdę (co nie jest istotne!), to powinna się czuć zaszczycona, że trafiła na takiego mężczyznę, jak Prusiński (niewidzące, wodniste oczy medium! Somnambulika!), który umieszcza jej nazwisko w swoich fantazmatach (ale nie tylko w „swoich”, bo to są również nasze fantazmaty! - wyjaśnię przy okazji!

No, poeto. Jeśli miałbym poszukiwać porównań, a spędziłem wiele lat w bibliotekach i na lekturach naszych (i nie tylko) wielkich poetów, to bym teraz porównał Zygmunta Prusińskiego z Zygmuntem Krasieńskim! I idę o zakład, że moje uczone koleżanki profesorki od romantyków, musiałyby ulec powadze argumentów, właściwych tej dziedzinie wiedzy...

ale po ich złożeniu do kupy, okazuje się, że oglądamy światy przerażające w najczystszej postaci... głupoty, piękna, łatwizny umysłowej i wyświechtanych porównań... za którymi stoi zbrodnia, zdrada, skrobanka, łapówka, oszustwo... i pragnienie zwykłej miłości i ludzkiej bliskości, które jest nieosiągalne i absurdatne w świecie niedorzecznym. Nawet sam Pan Bóg mówi Zygmunto Prusińskiemu: Przecież wiesz, że twoje żądanie bezinteresownej, czystej, duchowej miłości jest niemożliwe (i niemoralne), ale pisz i łudź się, wpadaj w sen, śnij o kochance o wyższym stanie ducha.

Najpierw seks, później poezja! (Jan Kochanowski by się z tym zgodził). Nie odwrotnie, bo nie rozładowane napięcie stworzy dewiację i dysonans! Tak samo jest w Teodycei u samego Boga. Zgodzi się z tym prof. Kazimierz Jaworski! (Dobrze by było, żeby się poeta na te psychoanalitki do mnie odezwał! W kontekście Jaworskiego również). Tak czy inaczej (na koniec), jeśli Sylwia Żwirska (piękne polskie nazwisko) - masz dobry gust poeto, pozwolisz, że wykorzystam je w swojej powieści? Jak i również ją samą i ciebie! (W tej chwili czuje się jakbym brał udział w jakiejś salonowej

(Nie zdradzam tu tajemnicy, że w nauce liczy się miła powierzchność zapewniająca poparcie przy głosowaniach na radach naukowych wydziałów. Facet, który przeleci większość koleżanek ma większe szanse na ustalenie, co jest bardziej naukowe, a co nie, bo oddane jego urokowi byłe kochanki go poprą). Myślę tu o bardzo specyficznym i zamkniętym kręgu specjalistów od Juliusza Słowackiego i Krasieńskiego. Bo co innego jest go wydać w stu tysiącach egzemplarzy, ale nic sensownego nie móc poza tym o nim powiedzieć Polakom i „Polisce”, np. o figurze „Okopów Trójcy Świętej” lub o ślepcie Orcia. Specjalnie używam mocnych słów, bo tylko one pozostają jako świadectwo, że kiedyś istniał świat naturalny, w którym jednakże poeta Prusiński usiłował szukać duchowej racjonalizacji. Niech się teraz „przebudzi” (po raz wtóry i wtóry - jak we śnie w dramacie scenicznym, Calderona de la Barca „Życie snem”) i próbuje opisać miłość kobiety, która urodziła się z próbki...

Karol Zieliński, Kraków

Recenzja dotyczy wierszy pod wspólnym tytułem „Kobieta białych luster” zamieszczonych w wersji internetowej. (z)

nie wiemy do końca, kim jesteśmy

Obecny świat jest tak rozpędzony, że wydaje się wręcz nieprawdopodobne, że ziemia od wieków obraca się z tą samą prędkością. Dzieje się tak zapewne za sprawą postępu cywilizacyjnego. W tym kontekście każdy wytwór ludzkiej wyobraźni służący sztuce, obojętnie w jakiej dziedzinie, to jakby krótki przystanek w tej nieustającej gonitwie. Wynika on z potrzeby utrwalenia refleksji, choćby przelotnej.

A przybliżony, jak przed okularami mikroskopu, obraz „globalnej wioski” rodzi z każdym dniem nowe refleksje i pytania. Często retoryczne. Zmusza do wejrzenia w głąb bliźniego, tego bliskiego i dalekiego, a przede wszystkim w głąb samego siebie. Uwypukla podobieństwa i różnice. I przynosi nowe niewiadome, bo tak naprawdę nie wiemy do końca, kim jesteśmy.

I wierzę, że każdy wiersz pochodzący od członków naszej „Grupy” wnosi jakieś ziarenko, jest częścią żywego, zbiorowego serca, które bije w organizmie mieniającym się ludzkością.

Alicja Skurzyńska, Słupsk



Alicja Skurzyńska, Słupsk

TEATR JEDNEGO AKTORA

Na ekranie wspomnień rysują się strzępy antycznej tragedii takie wciąż żywe choć porośnięte mchem i tak wielokrotnie oglądaniem, że zdumienie ogarnia od ich zatrzęsienia.

Czas akcji:

Rok, pół roku temu, wczoraj.

Południe, ranek, noc, a przecież wciąż teraz.

Miejsce akcji:

Bardzo oszczędne.

Kuchnia, stół, na nim ręce, nadal jakże piękne.

Pelargonie wybuchły na tarasie.

Okamgnienie

w okamgnieniu szkielec optycznych.

Sypialnia z wierną galerią portretów.

Niemy świadek drzwi wejściowe z głównym aktorem w nich otwartych szeroko i moje osobiste ja.

Choreografia:

Zwykła, szara, codzienna, bez zbędnych ozdób, choć tak pełna blasku.

W rolach:

Uniesienia, zachwyty, taniec ognia i mosty tęcze.

Zadośćuczynienia na osłep za tęsknotę.

Zatroskane anioły nad oazą ciszy.

Niewiara w grzechów odpuszczenie.

Dryfowanie na lodowej krze, ach, jakże krucha...

Wnętrza nieznanne, złowrogie zewnątrz.

I ty, sprawca główny i jedyny aktor (gdy siebie nie doliczę).

Reżyseria:

Postawie:

Ciąg dalszy niewykluczony na łakach niebieskich...

ZANIM

Zanim zamażesz wykreślisz

zatopisz

Nim spalisz ostatni most

zaryglujesz

zatrzaśniesz

Zanim zdezerterujesz

w chorobę

w zapomnienie

w nicłość

Raz jeszcze usiądźmy

przy stole

naprzeciwko siebie

porozmawiajmy bez słów

Może dałoby się

choć konsensus osiągnąć

który nie byłby już

piekłem

szewska pasja witkacomanii



Świetne przedstawienie, zrealizowane skromnymi środkami, ale z szacunkiem dla tekstu i ducha dramatu Witkiewicza stało się niewątpliwie ważnym wydarzeniem dla Słupska

Imiennik Macieja Prusa, reżysera spektaklu „Szewcy” i Macieja Witkiewicza, stryjecznego wnuka autora sztuki, Maciej Kobyliński a przez to, jak sam żartował, po części artysta, opowiedział przed spektaklem anegdotę. Zwiedzał był muzeum Witkiewicza w Zakopanem. Zawiedziony wielką ilością wystawionych prac malarskich poprosił pracownicę o możliwość obejrzenia innych. „O, proszę pana, żeby obejrzeć inne obrazy Witkiewicza, trzeba pojechać do Słupska” - odpowiedziała.

Słupsk słynie Witkiewiczem. Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku jest właścicielem największej na świecie, liczącej 250 dzieł kolekcji prac malarskich i rysunkowych Stanisława Ignacego Witkiewicza. Co pięć lat odbywają się sesje naukowe poświęcone artyście, a materiały sesji wydawane są staraniem Muzeum Pomorza Środkowego przy wsparciu finansowym ministerstwa i urzędu marszałkowskiego. Po „Powroty do Witkacego” sięgają zwykli czytelnicy i naukowcy. Twór-



czość Witkacego zdobywa popularność na zachodzie, a fenomenem jego percepcji w obszarze języka angielskiego zajmują się doktoranci, między innymi pani mgr Elżbieta Grzyb z UW (Recepcja twórczości S. I. Witkiewicza w krajach anglojęzycznych w świetle Teorii Polisystemu Itamara Even-Zohara).

Nic zatem szczególnego, że słupski Teatr Nowy im. Witkacego zorganizował pierwszą Witacomanię, której częścią stał się gościnny występ Teatru Polskiego z Warszawy ze spektaklem „Szewcy” w reżyserii Macieja Prusa, w którym rolę majstra szewskiego Sajatana Tempe zagrał Olgierd Łukasiewicz.

„Szewcy” są ostatnim zachowanym dramatem Witkacego, a autor opatrzył go przypisem: „Naukowa sztuka ze „śpiewkami” w trzech aktach. Poświęcone Stefanowi Szumanowi”.

Dojrzały artysta pracował nad „Szewcami” przez siedem lat (1927-1934), w ciągu których powstał jeden z najlepszych dramatów napisanych w języku polskim. Jest dziełem osadzone w polskiej kulturze i z absolutnym wycuciem czasu i ducha przywołuje konteksty literatury od Sienkiewicza po futurystów, a ze stereotypami rozprawia się bezlitośnie. Szewcy są także dramatem uniwersalnym opisującym kondycję jednostki i społeczeństwa w ciągłej walce klas, płci, rewolucji, czyli ciągłej dialektyce. Społeczna diagnoza Witkiewicza jest sarkastyczna i okrutna. Przeżyły się romantyczne hasła, idee i

ideały, na których wyrosły dramaty Wyspiańskiego. Ich patos Witkiewicz obnaża wprowadzając postaci „kmiotków” z chochołem z Wesela, by załatwić „kwestię chłopską”. Burżuazja i inteligencja „porewolucyjna” zesła na psy, czego symbolem jest uwiązanie na łańcuchu, a w inscenizacji Prusa na sznurze z wisielczą pętlą prokuratora Roberta Scurvy (Tomasz Borkowski). Idee społeczne podszyte erotyką prowadzą do zatarcia granicy między gwałtem a rewolucją społeczną. Praca przeradza się w absurdalny, jak powiedzielibyśmy dziś, praco-holizm lub odhumanizowaną czynność pozbawioną sensu, upodlającą człowieka. (Tak pracę kilka lat po wizji Witkacego pojęli faszysti, czyniąc z niej narzędzie upodlenia człowieka). Wszystko w dramacie marzącym o czystej formie doprowadzone zostało do absurdu i groteski. Historia obroniła, wydawałoby się, absurdalne wizje autora „Szewców”, czyniąc dramat aktualnym po dzień dzisiejszy, a pytania stawiane w nim są istotne, jak nigdy. Kim jesteśmy i dokąd zmierzamy, jaki jest kierunek i cel przemian społecznych, czym dla jednostki i społeczeństwa jest kultura? Realizację spektaklu w okresie Europejskiego Kongresu Kultury z powodzeniem daje się odczytać jako ważny głos w dyskusji.

Prawdziwym atutem sztuki jest język, żywy, powiedzielibyśmy szewski, a przez grę znaczeniami i zmianami fonetycznymi, lekki, poetycki, rozładujący napięcia. Nakładanie się stylów i odmian języka w wypowiedziach bohaterów dziś nie razi jak kilkadziesiąt lat wcześniej, a raczej jest znakiem kierunku, ku któremu zmierzają współczesne tendencje w literaturze.

Warszawscy artyści kunsztem w operowaniu słowem, barwą, melodią języka porwali słupską widownię, z ożywieniem wychwytyjąc niuanse językowe. Może właśnie język Witkacego jest wartością dodaną, dzięki której jego sztuka wydaje się nie tylko aktualna, ale i nowoczesna. Świetne przedstawienie, zrealizowane skromnymi środkami, ale z szacunkiem dla tekstu i ducha dramatu Witkiewicza stało się niewątpliwie ważnym wydarzeniem dla Słupska.

Dyrektor teatru Zbigniew Kułagowski określił tegoroczną słupską Witacomanię noworodkiem, którego trzeba pielęgnować. Podzielał pogląd i metaforę. Dla Słupska to świetna reklama. Twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza zarówno malarska, jak i literacka może być inspiracją, ale również interpretacją zjawisk postmodernistycznej rzeczywistości.

Czesława Długoszek, Objazda

„Szewcy”, Teatr Nowy w Słupsku, Witacomania 2011.

zadłużony, opętany hazardzista



Trudno zrozumieć, dlaczego powiedziała „tak”. Był od niej o wiele starszy, nie miał urody amanta, miał piskliwy głos i wygląd fanatyka-sekciarza. Najprawdopodobniej była w nim zakochana

Szczupły, niewysoki blondyn o niezdrowej cerze. Wyjątkowo wrażliwy, z powtarzalnym, nerwowym grymasem na twarzy. Bezbarwny i zakompleksiony przedstawiciel prowincji, byle jak ubrany, z rozbieganym spojrzeniem i drżącymi

dłońmi. Taki obraz Fiodora Dostojewskiego przedstawiła w swoich listach Awdotia Brianska, baletnica, literatka znana w salonach Petersburga, światowa dama, kiedy przedstawiono jej początkującego właśnie młodego pisarza, autora powieści Biedni ludzie, otwierającej mu drzwi do wielu salonów i buduarów. Ten epistolarny dramat miłosny przyjęty został entuzjastycznie i stał się początkiem drogi do sławy nieznanego absolwenta wojskowej szkoły inżynieryjnej.

Fiodor Dostojewski urodził się w Moskwie 30 października 1821 roku. Ojciec - lekarz- tonący w alkoholowych oparach, zamordowany w 1839 roku przez zdesperowanych chłopów. Matka - miłośniczka poezji, uwielbiająca piśmiennictwo Puszkina, Balzaka, Żukowskiego, wpoila Fiodorowi miłość do literatury. Należy wspomnieć o polskich korzeniach rodu Dostojew-

skich. Fiodor biegle posługiwał się językiem polskim. Cenił twórczość Adama Mickiewicza, jednak potępiał Polaków za przyjęcie katolicyzmu i - jak pisze - „zdradę Słowian jednoczonych zawsze przez prawosławie pod przewodnictwem wszechwładnej Rosji”.

Edukację rozpoczął w Petersburgu, jednocześnie przeżywając pierwsze przygody seksualne w ramionach tanich prostytutek. W Moskwie ukończył Szkołę Główną Inżynierską, otrzymując oficera stopień podporucznika. Zdając sobie sprawę z niezbyt szczęśliwego wyboru życiowej drogi, postanowił poświęcić się pisarstwu. Na jego dalszych losach zawazyła przynależność do Rewolucyjnego Koła Pietraszewskiego, krytykującego ekonomiczne i kulturowe zacofanie Rosji, gloryfikując wszystko, co zachodnie, postępowe i nowoczesne.

1857 roku. Ostatnią przedślubną noc Isajewa spędziła jednak z dawnym kochankiem, wspomnianym młodym nauczycielem. W czasie nocy poślubnej młodzi małżonkowie przeżyli ciężki atak epilepsji Fiodora, co zawazyło na ich późniejszym, całkowicie nie udanym życiu erotycznym. Dwa lata małżeństwa upłynęły Dostojewskiemu na pisaniu i poszukiwaniu nowej kandydatki na żonę z nadzieją, iż chora na gruźlicę, niewierna żona wkrótce umrze. W sierpniu 1861 roku na jednym z odczytów poznał Apolinarię Susłową. Ambitna emancypantka o literackich skłonnościach, zachwycona traumatyczną, męczeńską przeszłością Dostojewskiego w jednym z listów wyznała mu miłość. Został jej pierwszym kochankiem i nauczycielem sadomasochistycznych praktyk seksualnych. W okresie pięcioletniej znajomości Dostojewski zapomniał o



Zaangażowany, snujący futurystyczne i utopijne wizje, stanowiące część jego emocjonalnego życia, w 1849 roku został aresztowany i skazany na śmierć jako jeden z aktywnych - jak określono w carskim scenariuszu - antyrosyjskich spiskowców. W ostatniej chwili - był już zakapturzony i przywiązany do słupa przed plutonem egzekucyjnym - został ułaskawiony. Karę śmierci zamieniono na czteroletnie zesłanie na syberyjską katorgę oraz degradację do stopnia szeregowca. Pobyt na zesłaniu to czas refleksji, ciągłej medytacji i czytanie Biblii. Tłumione namiętności, zupełna odmiennosc przeżyć, tęsknota za kobietą miłością znajdują potem odbicie w fabułach jego powieści i wielu romansach, którymi zaspakajał posyberyjski głód miłości. Nic dziwnego, że po powrocie z zesłania natychmiast zakochał się w poznanej okazyjnie Marii Isajewej, żonie alkoholika, chorej na gruźlicę, wiecznie zazdrosnej i grymaszącej. Radykalnej zmianie uległy poglądy polityczne pisarza. Powrócił do gloryfikacji ustroju Rosji, sławiąc prawosławie i odżegnując się od przynależności do rewolucyjnej działalności, wychwalając przewodnictwo Rosji pośród krajów słowiańskich.

Zakochany Dostojewski pisze do Isajewej listy pełne miłostnej treści, zadreczę się i choruje z zazdrości. Po śmierci męża Isajewa szybko znalazła pocieszenie w ramionach młodego nauczyciela, nie ukrywając romansu przed Dostojewskim. Nie marnując czasu, po wielu staraniach odzyskał stopień oficera i oświadczył się Marii. Ślub odbył się 6 lutego

śmiertelnie chorej żonie. Pisał Zbrodnię i Karę, korespondował - jako przekonany nacjonalista i zgryźliwy bigot - z rodziną carską. Jednocześnie z dnia na dzień stawał się zadłużonym, opętany hazardzistą, przegrywającym w ruletkę niezbyt, co prawda, wysokie dochody. Częste rozstania i kłótnie nie stały się na razie powodem rozstania kochanek. Wyjeżdżają wspólnie do Paryża, potem do Genewy. Dostojewski wierny swojej hazardowej namiętności nadal przegrywa. W Genewie zastawia w lombardzie zegarek i pierścionek Susłowej, po czym rozstają się. Ona, przerażona jego nowym atakiem epilepsji, wyjeżdża do Paryża, on do Hamburga na ruletkę.

15 kwietnia 1864 roku umarła żona Dostojewskiego. Zapomniana przez przyjaciół i męża zajętego w dniu jej śmierci pisaniem listu do opuszczonej kochanki. Utulony w żalu wdowiec nie marnował czasu na wspomnianie małżeńskiego pożycia. Nawiązał znajomości z Marią Braun, podróżującą po świecie w towarzystwie londyńskich włóczęgów, fałszerzy pieniędzy, a nawet misjonarzy i pastora kościoła metodystów. Na pewien czas została ona utrzymanką Dostojewskiego. Odeszła od niego nie mogąc - jak pisze - „mieć pewności czy uda mi się nadal zaspakajać Pana fizycznie”. Podczas pobytu w Wiesbaden przegrał w ruletkę resztę posiadanych pieniędzy. W rozpaczliwym liście do byłej już kochanki, Apolinarii Susłowej prosi o przysłanie pieniędzy na powrót do Rosji. Po przyjeździe - opuszczony i zrujnowany rozpoczął pisanie kolejnej powieści - Gracz, zatrudniając w charakterze sekretarki

dwudziestoletnią Annę Snitkinę. W tydzień po oddaniu powieści wydawcy, Dostojewski poprosił Annę o rękę. Uszczęśliwiona Snitkina pisała: „szczęście wypełnia moją duszę. Czy to nie sen? Czy on naprawdę będzie moim mężem?” Trudno zrozumieć dlaczego powiedziała „tak”. Był od niej o wiele starszy, nie miał urody amanta, miał piskliwy głos i wygląd fanatyka-sekciarza. Najprawdopodobniej była w nim zakochana. Jej cnocie potrzebna była perwersja, życiowemu porządkowi - chaos. Wychowana w wiktoriańskim, mieszczańskim stylu być może uwierzyła w mit o pisarzu cierpiącym nędzę, żyjącym w ubóstwie z daleka od tematów wstydlivych i nieprzyzwoitych. Była idealnym przykładem dziewiętnastowiecznej obyczajowości, przyuczona do powściągliwości i panowania nad sobą. Jej miłość do męża była „czysto duchowa, idealna. Była uwielbieniem dla człowieka utalentowanego o wielkich wartościach moralnych”. Ich noc poślubna pozbawiona była miłości fizycznej i namiętności, przed którą zamknęli drzwi sypialni. Tę erotyczną poprawność małżonki Dostojewski znosił z trudem. Jednak w jednej z licznych prac obrazujących życie pisarza, autor T. Jenko w wydaniu w Moskwie w 1997 roku artykule wyraził pozytywną opinię o intymnym życiu Dostojewskich. Niedoświadczona i naiwna żona spełniała - jak pisze - wszystkie fantazje erotyczne męża. Zaspokojony małżonek nie musiał więc szukać zastępczych podniet. Małżeństwo z Sitkiną nie spowodowało zapomnienia o kobietach, które go fascynowały i które utracił bezpowrotnie. Pozostała mu jeszcze ruletka - niewierna, okrutna, lecz stale podniecająca, której oddał się całkowicie.

W 1867 roku Dostojewscy wyjechali za granicę. We Włoszech, Niemczech i Szwajcarii przebywali cztery lata. Pisarz tworzył następne powieści - *Idiotę* i *Biesy*. Anna urodziła trójkę dzieci, a Fiodor oddał się swojej szalonej namiętności, grając i przegrywając w ruletkę wszystkie oszczędności, wiedząc, że łagodna i cierpliwa żona czeka na niego i że zawsze mu wybaczy. Ratując go Anna zastawiła swoje suknie. W 1871 roku dług Dostojewskiego wynosił 25 tys. rubli. Nocami

pisal: Braci Karamazow, *Młodzika*, *Biesy* oraz artykuły, dyktując cierpliwiej małżonce teksty. W czerwcu 1880 roku podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Puszkina w Moskwie, Dostojewski był najważniejszym gościem. Jego przemówienia przyjęte zostały z entuzjazmem. Było to jego ostatnie publiczne wystąpienie. Podczas rodzinnego obiadu spotkał się z siostrą. Doszło do burzliwej kłótni o spadek. Dostojewski stracił przytomność na skutek krwotoku. Zmarł 28 stycznia 1881 roku. „W czasie pogrzebu - napisała Anna Sitkina - przysięgam sobie resztę mego życia poświęcić pamięci mojego niezapomnianego męża, rozstawienie i rozpowszechnianie jego szlachetnych idei”. Po przejściu władzy w Rosji przez bolszewików Anna Snitkina - jak głosi legenda - umarła w biedzie po zjedzeniu świeżego chleba dostarczonego przez przyjaciół.

Warto zatrzymać się nad niewyjaśnioną do końca tajemnicą epilepsji nękającej Dostojewskiego. Diagnozy oparte na relacjach pisarza i jego najbliższych wskazują, iż w latach 1853 - 1880 miał on jakoby około 400 ataków epileptycznych. Wydaje się jednak, że liczba ta została zawyżona między innymi przez samego pisarza jako jedna z wielu metod autokreacji. Zespół neuropatologów rosyjskich (N. Moisiejewa, L. Nikitina) twierdzi, że taka ilość ataków doprowadziłaby Dostojewskiego do degradacji intelektualnej i znacznego upośledzenia umysłowego. Jednocześnie lekarze stwierdzają, że pisarz cierpiał na zespół chorób, tj. rozedmę płuc, miażdżycę, krwotoki jelit, migrenę, skazę krwotoczną, migrenowe bóle głowy i one stały się przyczyną jego śmierci.

Możemy oczywiście dokonać własnych indywidualnych ocen tajemnic życia Fiodora Dostojewskiego, jednak jakkolwiek próba tanięgo moralizatorstwa nie spowoduje zmiany opinii, iż był uznanym przez świat geniuszem.

Andrzej Szczepanik, Bytów

Na podstawie: T. Klimowicz: „Pożar serca”; T. Jenko: „F. Dostojewski - życie intymne”.

ojciec



Tak, jak wcześniej obiecał córce, zaraz po śniadaniu zszedł do piwnicy i przydźwigał z niej fragmenty konstrukcji postaci ojca. Nogi, ręce i tułów. Wszystko wykonane było z płótna, siana i papieru, z niewielkim dodatkiem gliny i gipsu, bez których nie można by było zrobić stóp, dłoni i spowodować, aby figura stała się stabilna

Gdy jego córka - studentka Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku zapukała do mieszkania ojca, by odwiedzić go w wolne od nauki popołudnie, on miał wszystko przygotowane.

- Tato? To miała być ta niespodzianka, o której mi mówiłeś? - zapytała córka. Najwyraźniej spodziewała się zupełnie czegoś innego.

- Tak kochanie. Potrzebuję twojej fachowej pomocy, by zrekonstruować twojego dziadka, a mojego ojca.

- Cooo?... Zadałeś sobie tyle trudu, by... - nie wiedziała, jak sprecyzować zamierzenie, któremu poświęcił czas jej ojciec.

- By odtworzyć figurę twojego dziadka - wyjaśnił.

Kasia ogarnęła wzrokiem wszystko, co przygotował jej ojciec i wzruszyła ramionami.

- Jesteś dziwakiem. Po co ci to? Co zrobisz z tym manekinem? Czyżbyś cierpiał na niedosyt własnych rzeźbiarskich dokonań?

- Nic z tych rzeczy. Moje zdolności rzeźbiarskie były na tyle wystarczające, by zrobić - jak mówisz - ten manekin, ale... na tyle mi ich zabrakło, by wszystko doprecyzować. Musisz mi pomóc. Popracujesz zwłaszcza przy rekonstrukcji twarzy, bo jestem z niej niezadowolony.

No i najwięcej kłopotu przysporzyły mi dłonie. Ich wykonanie, podobnie jak wykonanie głowy, musi być precyzyjne. Te dłonie muszą być dłońmi tylko mojego ojca. Ciężkimi, owłosionymi na wierzchu, masywnymi, bo wypracowanymi dłońmi o grubych i dosyć długich palcach. Dłońmi, jakie zapamiętałem dobrze, chociaż nigdy nie głaskały mojej głowy, nie przygarniały mnie do siebie, ale także nigdy ojciec ich na mnie nie podniósł.

Mówiąc to, miał także w pamięci inny ich widok. Jakże okrutny i bolesny, gdy po raz ostatni mógł je dotknąć i złożyć na nich synowski pożegnalny pocałunek. Gdy złączone w sztucznym zaplocie palców przewiązanych różańcem spoczywały na jego torsie w dębowej trumnie. Zimne i sine, co było

oznaką wewnętrznego wylewu, i takie różne od woskowatej białości pośmiertnej twarzy.

- Jezu! Jaki ty Kazik jesteś ładny - niespodziewanie wówczas, żegnając się z nim, westchnęła matka.

Sztuczne dłonie ojca wykonane zostały na bazie starych rękawiczek, z papieru i gliny. Z gliny, nie z gipsu, bo glina jest cieplejsza, a on nie chciał, żeby zawsze, gdy będzie dotykał dłoni ojca, przypominały mu ten widok z ostatniego z nim pożegnania.

Gdy przypatrywał się córce, z jakim zaangażowaniem zabrała się do prac konstrukcyjnych, wydawało mu się, że widzi przed sobą przyszłą rzeźbiarkę; artystkę, która z niezwykłą pieczołowitością dba o każdy szczegół dzieła. Która, zapewne jak on, ma w pamięci postać prawdziwego dziadka i wszystkie czynności przyporządkowuje tej zapamiętanej postaci.

- Tatusiu. Czy te nogi się zginają?

- Nie, kochanie. Jak widzisz, są sztywne. A zrobiłem je w zgięciu celowo tak, bo dziadek będzie siedział na tym taborecie - podsunął pod stary, ale zadbanej stół, ciężki taboret z kamiennym blatem.

- Będzie siedział przy tym stole tak, jak zawsze siadał w domu. Pamiętasz, jak dziadek po obiedzie opuszczał luźno dłonie na kolana, opierał się mocno stopami o podłogę i tak na sztywno zasypiał na stołku?

- Pamiętam. To było niesamowite. Do dzisiaj się zastanawiam, jak można było tak usnąć na siedząco i nie przewrócić się, nie spaść ze stołka - westchnęła córka.

- To była codzienna poobiednia jego sjesta. Pół godziny mu wystarczyło, by odpocząć - wyjaśnił ojciec.

- Ale teraz nie posadzimy go w ten sposób? - spytała jego Kasiula.

- Tak.

Właśnie tak będzie siedział. Ręce tak wykonałem, by po ich przyszyściu do ramion, dłonie można było swobodnie ułożyć mu na kolanach.

- Rozumiem. Tylko nie będzie spał, bo ma otwarte oczy... - podzieliła się z nim nowym spostrzeżeniem.

Teraz, gdy już twój dziadek, a mój ojciec śpi snem wiecznym, u nas w swoim pokoju będzie tylko czuwał. Będzie przypominał nam tego, z którym ja... - ojciec zrobił wyraźną przerwę, a następnie pokajał się - nie miałem nigdy wystarczająco czasu porozmawiać o jego życiu. I o swoim zresztą także - dodał.

Słyszając to, córka wymownie spojrzała na ojca. - Tato, ty masz wyrzuty sumienia.

- A mam kochanie. Mam. Dlatego, widzisz, zrekonstruujemy sobie mojego ojca, a twojego dziadka, by mu to teraz wynagrodzić.

- Cooo? - córka aż podskoczyła ze zdziwienia. - Wynagrodzić? Jak chcesz to zrobić?

Ojciec w milczeniu otworzył szufladę pełną przyborów do szycia. Wyjął z niej motek dratwy i grubą igłę.

- Gdybyś chciał to mnie wynagrodzić, żebym chociaż teraz mogła dowoli posiedzieć sobie na jego kolanach, nie zrobiłbyś mu sztywnych rąk - uczyniła mu wyrzut. - No, jak ja mu usiądę na kolanach? Jak? - pokazała na dłonie dziadka spoczywające na jego kolanach.

Uspokój się, kochanie. Nie o to mi chodziło. Ty już jesteś za duża, żeby siedzieć na kolanach dziadka. Ze mną też nie chcesz chodzić za rączkę...

- No wiesz? - wzruszyła ramionami. - Jakby to wyglądało?

- No właśnie. Ja też kiedyś stroniłem od czułości ojca. A teraz mi jej brakuje.

- Będziesz mu siadał na kolanach? - zapytała córka.

- Nie. Ja też nie będę mu siadał na kolanach. Będę z nim sobie rozmawiał.

- Nie żartuj - córka spojrzała ojcu w oczy. - Żartujesz sobie ze mnie? - zapytała wymownie.

- Nie, kochanie. Mówię to całkiem serio. Żeby nie czuść się samotnym, będę siadał naprzeciwko i patrząc mu w oczy, będę opowiadał mu o wszystkim. Opowiem mu o tym, czego wcześniej nie zdążyłem, a może nie umiałem, mu opowiedzieć - wyjaśnił.

Gdy Kasia przyszywała nogi, a potem ręce do korpusu, on wyjął z szafy przygotowane wcześniej stare ubranie ojca; ciemne, szerokie, powycierane już na kolanach spodnie, kolorową, aczkolwiek mocno już wypłowiałą koszulę i rękawnice robione przez matkę, granatowy sweter.

- Mam też marynarkę mojego tatusia, ale... nie będziemy mu jej wkładać - zwrócił się do córki.

- Chyba masz rację, tato, on marynarkę zakładał tylko od wielkiego święta, a tobie chodzi chyba o to, by był jak najbardziej naturalny.

- O, o, właśnie, trafiaś, kochanie, w sedno. O to mi chodzi. Dlatego zadbałem, aby znalazł się tu także ten stół. Wiesz? Jak kiedyś zawiozłem samochodem ciężarowym babci opał, zabrałem stół, przy którym siadaliśmy wraz z ojcem. Przy którym mój tatulek odpoczywał. Babcia chciała go porządkować i spalić. A przecież... on mi tyle przypomina.

- Rodzinny dom? Czy ty tato nie jesteś zbyt sentymentalny? - zapytała Kasia.

- Tak uważasz?

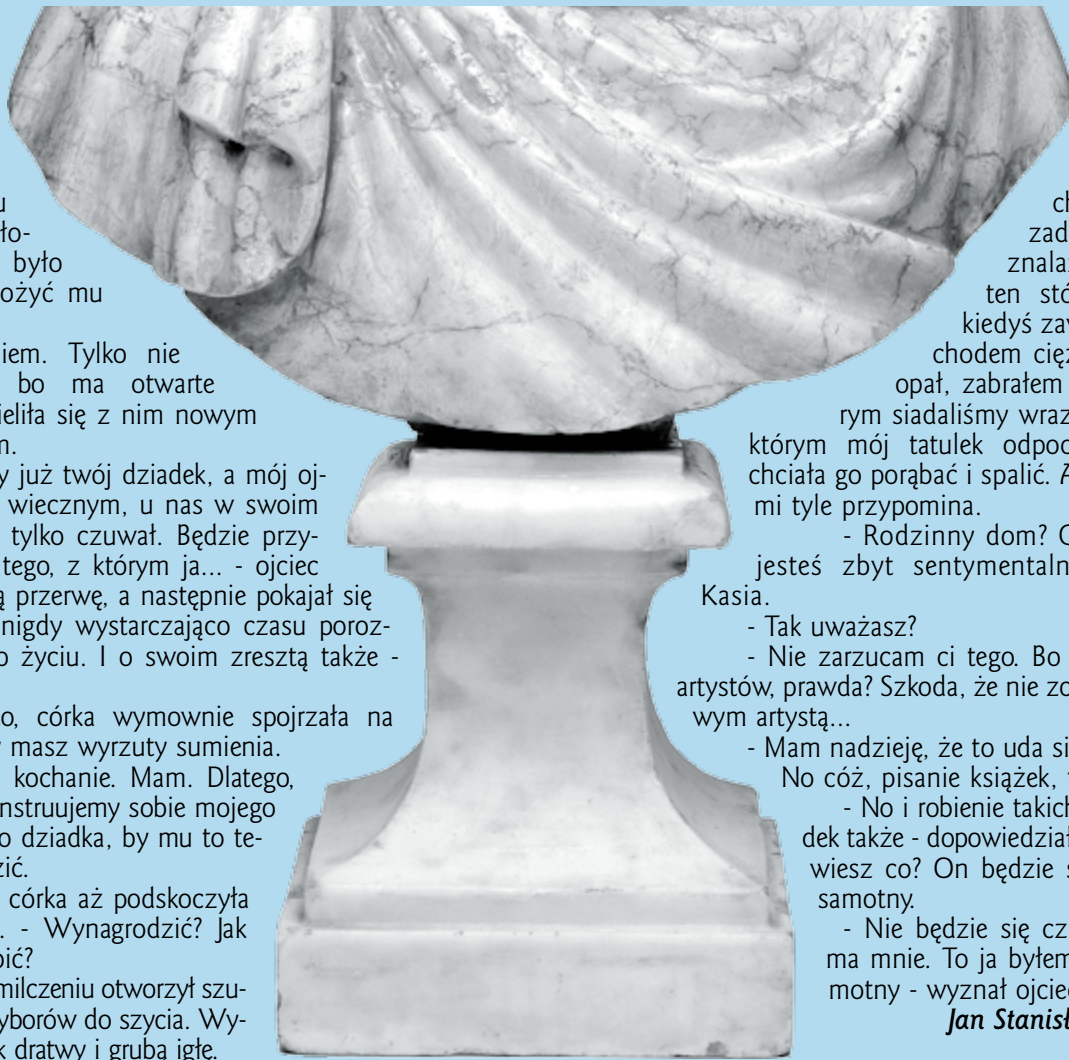
- Nie zarzucam ci tego. Bo to także cecha artystów, prawda? Szkoda, że nie zostałeś prawdziwym artystą...

- Mam nadzieję, że to uda się tobie. A ja?... No cóż, pisanie książek, to też sztuka.

- No i robienie takich figur jak dziadek także - dopowiedziała córka. - Tylko wiesz co? On będzie się tutaj czuł... samotny.

- Nie będzie się czuł samotny, bo ma mnie. To ja byłem bez niego samotny - wyznał ojciec.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz



ułatność ideałów (fragment)



Tęczówki chłopaka barwiono czekoladą, a włosy przypominały odcieniem skrzydła kruka. Wyciągnęła rękę, kciukiem starła kroplę ciemnego soku z nad jego górnej wargi. Pod palcami poczuła delikatny meszek

27 listopada, niedziela

*Ziębnięci
pod przydrożną kapliczką
w noc
kiedy fiołki z zimna dygocą
zawijali się szczerle
ciepłem swoich ramion**

Oszronione żdźbła trawy sztywniały od mrozu. Zadeptała adidasem papierek po gumach do żucia, kątem oka obserwując poruszenie za firanką w oknie na pierwszym piętrze. Chwilę potem domofon zaterkotał. Pchnęła żeliwną furtę, tarabaniąc się na ścieżkę z betonowej kostki.

Jesień złociła ogród kobiercem opadłych liści. Poranny chłód zamroził pozostałości wczorajszego deszczu, tworząc gdzieś tam misterną, ale i niebezpieczną gołotę. Wydawało jej się, że wyczuwa w powietrzu coś na kształt melancholii. Zresztą, miała artystyczny umysł, takie skojarzenia stanowiły dla niej chleb powszedni i niekoniecznie miały jakieś odniesienie w rzeczywistości.

Przeskoczyła kilka pierwszych stopni prowadzących na taras. Intuicyjnie chwyciła się barierki, żeby nie wyrznąć w ostry kant. Drzwi balkonowe uchyliły się nieco, na tyle, żeby mogła przycisnąć się do środka. Psiamać, akurat teraz musiała odjechać nogą w tył! Jakos odzyskała równowagę, a po chwili także rezon.

- Cześć! - cmoknęła Adriana w policzek. Chłopak nagle nabrał kolorów, a oczy mu zabłyśły. Uśmiechnęła się nieco smutno. Pomyślała, że to do niego i odwzajemnił uśmiech. Przeoczył nutę przygnębienia w wygięciu jej warg. Może dlatego, że jak przystało na faceta, był nadzwyczaj mało sportowawczy, a może dlatego, że ledwie odwiesiła kurtkę, natychmiast ją pocałował.

*Odeszła uśmiechnięta
ze zgorszoną sową
pod pachą***

Woń wydobywająca się zza kuchennych drzwi z całą pewnością pochodziła od przypalonego garnka i równie przypalonej zupy.

- Jezus Maria. - Laura musiała zatkać sobie nos, zanim odważyła się podejść do kuchenki.

- Nie jestem ani Jezusem, ani Marią - odparował Adrian. Policzki różowiły mu coraz bardziej.

Usiłując nie widzieć kpiny w szmaragdowych oczach dziewczyny, wyłączył gaz, wstawił garnek do zlewu, ale kiedy chciała sięgnąć po czajnik, powstrzymała go szybko ruchem ręki. Zupełnie jakby podejrzewała, że nawet wodę potrafi

przywalić. Popatrzyła na niego z pobłażaniem, wciąż ściskając skrzydełka nosa dwoma palcami.

- Weźmy po prostu jakiś sok i chodźmy na górę. Jak zgłębimy, zrobimy kanapki - zaproponowała, opuszczając wreszcie dłoń. Z pewnym przekąsem zauważył, że musiała zupełnie się już zadomowić, bo bez chwili wahania sięgnęła do kredensu po szklanki z przezroczystego szkła.

- Ehm - przytaknął rozdrażniony. Próbując wybrnąć z niezręcznej dla niego sytuacji, rzucił się w kierunku lodówki. Laura zrobiła ten sam ruch, tylko trochę mniej gwałtownie, ale i tak zderzyli się momentalnie. Roześmiała się w głos, przywarła do niego, a on pocałował jej włosy. Odepchnęła go żartobliwie.

- No już, już - powiedziała ugodowo. - Jak chcesz, możemy tylko udawać, że oglądamy film, ale mi naprawdę chce się pić. A jak mi spierzchną usta - dodała zaczepnie - to z całowania nici.

Wymamrotał coś pod nosem, szarpiąc za drzwiczki lodówki. Skombinował sok z czarnej porzeczki, wziął od dziewczyny szklanki mimo głośnych protestów, oponując, że to on jest gospodarzem. Pomaszzerowali na piętro niczym straceńcy.

Laura znowu uśmiechnęła się z przygnębieniem za plecami swojego chłopaka. Gdyby on wiedział...!

*Wiatr strącał im
na głowy gwiazdy
które osiadały
we włosach jak szron****

Tęczówki chłopaka barwiono czekoladą, a włosy przypominały odcieniem skrzydła kruka. Wyciągnęła rękę, kciukiem starła kroplę ciemnego soku z nad jego górnej wargi. Pod palcami poczuła delikatny meszek. Uśmiechnęła się znowu, tym razem naprawdę szczęśliwa. Kto by pomyślał, że tak to się skończy, pomyślała rozrzewniona.

- Podoba ci się? - spytała z zaciekawieniem, wskazując podbródkiem migoczący ekran telewizora. Nowe DVD działało bez zarzutu, widać nie był to kolejny niewypał.

- Gdybym w ogóle oglądał, pewnie by mi się spodobało - zamruczał jak zadowolony kocur, mocniej przygarniając ją ramieniem. Przymrużyła powieki, oparła głowę na zagłębieniu jego szyi.

Doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Pamiętała, jak sama się czuła, kiedy całowała, tuliła, obejmowała Nataszę. Któregoś razu puściły na cały regulator VIVE, zaszyły się na kanapie w rogu i bezkarnie przytulały.

Zagryzła wargi, wpatrzona w wyłaniające się z półmroku rysy twarzy Adriana. Boże, kochała go. Tak, jak nigdy nie potrafiła pokochać Nataszy. Tyle, że Nataszę swego czasu bardzo chciała kochać, a o Adrianie wołałaby nie pamiętać.

Zamrugnęła, wymotała się z objęć chłopaka, zastopowała film.

- Jesteś głodna? - popatrzył na nią wzrokiem smoka porażającego dziewczecę.

Wskazała odbłask reflektorów za oknem.

- To twoi rodzice - wyjaśniła ogólnie. Właściwie strzeliła, ale nie musiał o tym wiedzieć.

- Co z tego? Przecież to żadna tajemnica, że jesteśmy parą - zaperzył się Adrian, łypiąc na nią i wstając, żeby się upewnić. Miała rację. Znajoma Toyota właśnie barykadowała się w garażu. Oparł dłoń na parapecie z rozżaloną miną. Wyrwała oczami.

- Nie chodzi mi o to. Ale jeśli nie chcesz się niepotrzebnie tłumaczyć, to radzę ci wywietrzyć kuchnię. Natychmiast.

- O rany! - jęknął. Wypadł z pokoju jak źle wystrzelona petarda. Sarknęła, bezsilnie opadła na sofę. Ukryła twarz w dłoniach.

Pozbyszy się chłopaka z pokoju, mogła przestać zgrywać dziewczynę z życiorysem mniszki, zamykać w zakolu kłamstwa. Gdyby chociaż rasowy safizm, który sterował jej życiem ponad rok, był jedynym, co miała za uszami, nie byłoby jeszcze tak źle. Szlag! Nawet matka Adriana wiedziała więcej o tym, jaka jest naprawdę.

Rozmasowała policzki. Starła się żyć tak, by nie zakazić teraźniejszości tym, co w jej własnym mniemaniu należało do dawnej, czy wręcz zamierzchłej przeszłości. Najbardziej życzyła Adrianowi tego, żeby jego życie było prostsze, niż jej.

Wstała, roztrzępała włosy. A potem, równie starannie, zamknęła wspomnienia w zakamarkach pamięci, skąd nie mogły uciec, aby ją dręczyć. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Cicho! - zasyczała, zezując w stronę nauczycielki. Prychnął zduszonym śmiechem.

- Przepraszamy - wyrecytowali chórem, czując na sobie gromiące spojrzenie kobiety w okrągłych oprawkach na sękatym nosie. Demon seksu, ot co.

Laura jeszcze raz zajrzała do podręcznika, tam, gdzie czarnym flamastrem widniały poprawki na definicji „paradoksu”. Adrian podążył za jej spojrzeniem, kąciki ust wygięły mu się w mimowolnym uśmiešku. Dwie pary śmiejących się oczu natychmiast się spotkały.

We względnym spokoju usiedzieli do dzwonka, tylko czasem niby niechcący ocierając się o siebie dłońmi. Byli parą dostatecznie długo, żeby nie wzbudzać sensacji, ale żadne nie preferowało zbyt długiego okazywania uczuć w szkole. A przynajmniej nie na oczach innych.

Tak, jak kiedyś z Nataszą, pomyślała z przygnębieniem Laura, narzucając na ramię pasek torby, tylko że wtedy nikt o nas nie wiedział. Zerknęła na chłopaka, próbując wyba-



*purpura łaknienia
smakuje wanilią*

*podnosisz do czwartej potęgi
pulsację skroni***

29 listopada, wtorek

*Inne usta
nie kobyszą światem*

*Pod ich dotknięciem
nie rozchylają się wargi
jak maciejka na przyjęcie nocy****

Adrian trząśnięty tak, że krzesło pod nim chybotęło. Laura szturchnęła go w ramię, udając, że wcale, ale to wcale nie dostrzega rozbawionych spojrzeń wypalających im dodatkowo otwory w plecach.

dać, czy na pewno nie zauważył zmiany w wyrazie jej oczu. Oczywiście, że nie. Wywróciła oczami.

- Od kiedy umiesz robić zeza? - spytał z zachwytem Adrian. Roześmiała się, czule potargała mu włosy. Kochała go nawet wtedy, kiedy zachowywał się jak totalny szczeniak.

- Głupek.

Ruszyli w głąb korytarza, ściany miały kolor mleka, tylko kostka pod ich stopami zachowywała ciepły, kremowy odcień. Bielone belki na ścianach przypominały drogowskazy. Zabunkrowali się na osamotnionej ławce w rogu, wtulonej w kaloryfer.

- Masz fizykę? - Laura filuternie zaślониła twarz zeszytem.

- Mhm. - Adrian zahaczył palcem o okładkę i pociągnął w dół. - Dokończyć ćwiczenia. Odpowiedzieć na pytania w zeszyście.

- Sprawdzisz mi?

Prychnął, ale wziął od niej brulion. Postukał palcem w okładkę, wymamrotał coś do siebie, przejechał po kartce po-

krytej drobnym maczkiem, a potem zerknął na tył zeszytu, żeby przeczytać ledwie wczorajsze bohomyzy. Kiedy Laura próbowała wyrwać mu zeszyt, uniósł go wysoko do góry poza zasięg jej rąk. Zmrużyła oczy, a potem uśmiechnęła się koikietyryjnie. Poczęstowała go całusem w policzek, kompletnie dezorientując i wyrwała zeszyt. Popatrzył na nią i mruknął:

- Dobra, ale poproszę jeszcze raz to samo.

Ryknęła śmiechem.

Umówili się na następny dzień. Laura poderwała się, potem zaciągnęła go za koszulkę do szatni. Ukryci między kurtkami, całowali się, dopóki można omal nie zamknęła ich w środku. Rozbawieni wrócili pod klasę, śmiejąc się i poszturczując.

Laura zauważyła ciężkie spojrzenie Nataszy po drugiej stronie korytarza. Nagle rozdygotana, odwróciła wzrok i zaczęła pilnie przeszukiwać torbę.

- Zapomniałaś czegoś? - zaalarmowany Adrian oparł podbródek na przegubach.

- Chyba nie mam farb na plastykę - skłamała gładko.

- O, widzisz. Niczego nie brakuje. Coś mi się wydawało - uśmiechnęła się wymuszenie. Oparła ramię o jego ramię.

Laura westchnęła, widząc, jak Natasza powoli odchodzi. Oczywiście, że o wszystkim pamiętała. Nie tak łatwo zapomnieć o kimś, kto wbił ci nóż w serce, a potem jeszcze go przekreślił.

Zgasta na oknie pelargonja

*Palit się tylko nade mną
twój oddech*

*Z głową przechyloną
przez krawędź księżycza
spadałam na dno nocy****

**Aneta Rzepecka
Damnica**

**Małgorzata Hillary - „O sowie”*

***„Narkotyzowana niepokojem”(autorki)*

****Małgorzata Hillary - „Inne usta”*

*****Małgorzata Hillary - „Chwila”*

ćwiczenie pamięci



Nigdy nie mam kłopotu z odpowiedzią na pytanie: Czy pan zna jakieś swoje wiersze na pamięć? - Najzwyklej w świecie, nie znam. Nigdy, ale to przynigdy nie starałem się nauczyć na pamięć któregośkolwiek ze swoich wierszy

Jedno potknięcie... - No trudno, każdemu może się zdarzyć. Drugie... - o jej, jej... - I zaczynamy się zastanawiać, czy będzie kolejne? Do tego dochodzą nerwy deklamującego. A już, gdy zdarzy się, że ów całkiem coś poplącze i zmieni w wierszu, lub też w ogóle nie dokończy tekstu, wszyscy będą pamiętać li tylko ten fakt, że zepsuł recytację, a nie to, o czym był ów wiersz.

Deklamacja to odwaga, ale i należy to wiedzieć, że ona zabiera część uwagi słuchającego. Kiedy przy odczytywaniu tekstu z książki (kartki) słuchający mogą całkowicie swą uwagę poświęcić tekstowi, wsłuchać się w wiersz, przy recytacji z pamięci - chcąc nie chcąc - część ich uwagi ulatuje w stronę recytatora. Dlatego też ani sam nigdy nie starałem się nauczyć swojego wiersza na pamięć, ani tego nie zalecam innym. Ćwiczmy pamięć w inny sposób. Nawet na tabliczce mnożenia lub na przypominaniu sobie, do kogo mamy jutro zadzwonić. Kto zasługuje na nasze zaufanie, komu mamy oddać pieniądze, a kto już zapomniał o tym, że wcześniej je od nas pożyczył?

**Jan Stanisław Smalewski
Naémierz**

Dlaczego? Uważam, że w ten sposób przeceniłbym własne ego. Nie potrzebuję takiego osobistego dowartościowania. Już sam akt tworzenia wiersza wystarczy mi, żeby zaspokoić swoje zapotrzebowanie na kontakt ze swoją poezją.

Nie jestem też zwolennikiem uczenia się na pamięć wierszy przez młodzież w szkole. Lubię dopracowane teksty do perfekcji; gdy w wierszu nic nie zgrzyta, wszystko jest spójne, elastyczne, piękne. Przygotowując prezentację wierszy autora, wystarczy zatem zwrócić uwagę na jego najważniejsze elementy: interpunkcję (jeśli ją posiada), pointę, metafory. Dobry recytator potrafi wydobyc z tekstu więcej, niż czasami sam autor chciał w niego włożyć. A tymczasem nieudana deklamacja może wszystko zepsuć.

